№ 40. Warszawa, dnia 1 Października (19 Września) 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W **Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z **przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Złota Nr. 23.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Książka **Społeczeństwa zwierzęce** Espinasa kosztuje obecnie w całości dla abonentów **Prawdy** rs. 1 kop. 50.

Dla dokończenia dzieła Espinasa, dołączony do dzisiejszego numeru dodatek dajemy większy o arkusz druku.

POLITYKA.

PO 25 LATACH.

„I któż to jest ten pan v. Bismark? Rozpoczynając swoją karyerę, był szlachcicem średniego wykształcenia politycznego, któremu brakło biurokratycznej pedanteryi, ale i biurokratycznej rutyny, którego wiedza nie wznosiła się po nad zwykły poziom ludzi inteligentnych... Występował szorstko i bezwzględnie (1849—50), niedbale aż do lekkomyślności, czasem dowcipnie aż do zuchwalstwa, ale myśli politycznej nigdy nie zdradził. We Frankfurcie (jako pełnomocnik przy sejmie związkowym) nauczył się ceremoniału dyplomatycznego, w Paryżu wykradał tajemnice intrygującym księżnom, ale twarda robota codziennego zarządu sprawami jest mu obcą, jasnego spojrzenia w szczegóły maszyny państwowej nigdzie nie zdobył." Tak wystawiano dzisiejszego wielkorządcę Niemiec przed 25 laty, gdy cesarz, nie mogąc dać sobie rady z sejmem, wezwał swego śmiałego przedstawiciela w Paryżu do objęcia przewodnictwa w gabinecie. Bismark wszedł na to stanowisko nietylko niepoprzedzony uwielbieniem, którego kadzidła obecnie prawie go duszą, ale przeciwnie ujął ster w ręce śród urągań i złorzeczeń. Monarsze swojemu oświadczył krótko: dam ja im! i odtąd, przez lat 25, daje im — wybranym narodu i parlamentów. Od szpicruty zaczął i ze szpicrutą stoi dziś przed pochylonymi karkami, przed zagrzebanemi w prochu czołami, przed zgnębioną, sponiewieraną i upodloną rzeszą niewolników, którzy kornie z pod jego stóp powtarzają ciągle: „chwała ci na wysokościach." Założył sobie dwa cele: nieprzebieranymi środkami pokonać lub osłabić wszystkie potęgi mocarstwowe w Europie i przykuć je do swego rydwanu, oraz wolę narodu zastąpić własną. Oba te zadania spełnił bądź zręcznością szatańską, bądź gwałtem rozbójniczym. Mieczem w krwi umaczanem napisał światu nowy zakon i dotąd go strzeże.

Nie będziemy tu opowiadali szczegółowo historyi jego podbojów zewnętrznych i wewnętrznych; są one powszechnie znane. Chcemy tylko zaznaczyć krzyczący rozdźwięk, jaki z bałwochwalczymi hymnami służalczej prasy niemieckiej w tym dniu pamiątkowym tworzy złorzeczący chór całego świata. Teutonowie sławią w swym bohaterze „największego męża stanu wszystkich czasów." półboga, człowieka opatrznościowego, zesłanego po to, ażeby nad innymi królować; natomiast inne narody widzą w nim Tamerlana cywilizacyi, potęgę straszną a niszczącą, ducha niedoli, siewcę klęsk, tępiciela niewinnych. I nie w tamtych chwalbach, ale w tych właśnie klątwach spoczywa właściwie wielkość Bismarka. Gdyby on tylko rozbił Austryę i Francyę, gdyby zjednoczył Niemcy, nie posiadałby w dziejach tej wagi, jaką mu ona przyzna. On zaraził Europę tyranią, on zakuł ją w pancerz militaryzmu, on dał jej wzory ucisku, on zabagnił lub zatamował wszystkie szlachetniejsze źródła życia i rozkiełznał siłę urągającą prawu. Jego wpływ pośredni może był jeszcze większym i w skutkach okropniejszym, niż działania bezpośrednie. Dzięki jemu Europa ogołociła się z wszelkich zasad, gdyż kolejno gwałcił wszystkie: religijne, moralne, państwowe. Nawet ta idea monarchiczna, którą pozornie tak ukochał, musiała upaść przed jego wolą, gdy łamał prawowite następstwa tronów. Historya nie zna męża stanu, któryby tak zuchwale i bezwzględnie pogardził uczuciami i regułami moralnemi w polityce. Dobrem było dla niego to tylko, co możliwe a korzystne, złem, co niemożliwe i niezyskowne.

Oślepiony jego wielkością naród poszedł za swym mistrzem i powoli wyzuł się z cnót publicznych. Poziom moralny w Niemczech upadł na tę niziną, na której zaciera się zupełnie różnica między godziwem a niegodziwem. Godziwą bowiem jest tam pięść silna, niegodziwą — słaba. Nigdy okrzyk: biada zwyciężonym! nie rozległ się mocniej i nie był głoszonym z większą dzikością, jak w obecnych Niemczech, które całych wieków będą potrzebowały na zmycie z siebie tego barbarzyństwa. Ludzie, którzy wyrośli i dojrzeli we wzniosłych natchnieniach, którzy ukochali najpiękniejsze godła, padli tam tłumem pod koła wozu tryumfatora, ażeby on zgniótł w nich to, z czego byli dumni. Współcześni oswoili się z tym widokiem, wielu on olśnił, ale potomni ze zdumieniem patrzeć będą na ponurą epokę rządów Bismarka.

A on jak gdyby z rozkoszą karmił się i potępieniami współczesnych i wyrzutami potomnych, tak jest wykończonym w pogardzie dla wszystkiego, co leży po za jego wolą i władzą. Gdy mu dano sposobność okazania wspaniałomyślności i podarowano miliony w nadziei, że je od siebie ofiaruje narodowi, uśmiechnął się służliwie i—kupił sobie dobra. Gdy spada nań ulewa złorzeczeń, również się uśmiecha. Człowiek ten nie unika nienawiści, ale owszem wywołuje ją i karmi nią swą duszę. *Oderint dum metuant* — niech nienawidzą, aby się bali, oto było jedyne wielkie pragnienie jego serca.

Po 25 latach widzi je spełnione całkowicie. Budzi odrazę i grozę. Pierwszą lekceważy, drugą kocha. Niczego więcej nie wymaga od życia, aby tylko twarze powlekał bladością i ciała przenikał dreszczem trwogi. Tą rozkoszą oddycha bożyszcze Niemiec. Bałwochwalcy nazwali go „jedynym.“ Kto wie, czy nie słusznie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Manewry i częściowe uruchomienia armij, ciągłe podjazdy dziennikarskie, wiecznie otwarta rana na półwyspie Bałkańskim, nowe zajścia na granicy francusko-pruskiej — wszystko to razem znowu wywołało upiora wojny. Wisi ona w powietrzu — wołają już nietylko dzienniki prywatne, ale nawet półurzędowe, a wisi coraz niżej. Do jakiego stopnia struny stosunków międzynarodowych wyprężyły się, przekonywają dwa wypadki. Pod Metzem władze pruskie złapały i uwięziły kilkunastoletniego żaka, syna owego komisarza policyi francuskiej, który niedawno dźwigał na sobie przez kilka tygodni uwagę całej Europy. Swawolny i zapalczywy chłopiec przybił na słupie arkusz papieru złorzeczący niemcom. Schwytano go — i sprawa weszła na drogę dyplomatyczną. Kilku myśliwych francuskich polowało nad granicą niedaleko Raon; straż pruska wzięła ich podobno za kłusowników, strzeliła, jeden padł, drugi otrzymał ranę. I ta sprawa weszła na drogę dyplomatyczną. Przed 20—30 laty tego rodzaju zdarzenia zaledwie odbiłyby się echem w dziennikach miejscowych; dziś nabierają one wielkiej wagi, dają powód do obaw, uważane są za znaki zbliżającej się wojny. I dodać trzeba, że rzeczywiście ważą na szali politycznej, gdyż padając na niezmiernie rozdrażnioną opinię obu wrogich narodów, grają rolę iskier przy prochowniach, grożą niebezpieczeństwem wybuchu. Ks. Bismark widocznie nie chciał już próbować szczęścia wojennego, usiłował tylko obwarować zdobycze; teraz widzi, że niedoduszony nieprzyjaciel odzyskał siły, powstał i coraz groźniej patrzy mu w oczy. Potęga Niemiec jeszcze nie pozbyła się wszystkich znaków zapytania. A tu Szczecin nie udał się, prasa rosyjska nie przestaje ostrzeliwać „sprzymierzeńców,“ armia francuska w uruchomieniu wykazała gotowość bojową, niemiecka zaś rozczarowała się do karabinów magazynowych — czoło Herkulesa pruskiego pomarszczyło się chmurami. Bodajby go los utrzymał przy życiu do tej chwili, kiedy jego dumna budowa zwali się w gruzy.

Co ukuł z austryackim ministrem spraw zagranicznych w Friedrichsruhe— nie wiadomo, ale to pewna, że nawet dziecinnej łatwowierności nie zasypano oczu bzdurnym piaskiem—wieścią, że Bismark z Kalnokym uradzili jedynie, ażeby rozstrzygnięcie kwestyi bułgarskiej pozostawić... wypadkom. Rzeczywiście, to wygląda zwłaszcza na Bismarka!

Times rzucił pogłoskę, że Austrya, Anglia i Włochy zawarły z sobą przymierze. Pogłoskę tę puszczono mimo uszu, ma ona wszakże o tyle znamię prawdopodobieństwa, że taki związek leżałby w interesie Niemiec, które też może próbowały go zlepić.

Trzy pancerniki, które miały zawinąć do portów bułgarskich dla pokazania Koburgowi, że konsula niemieckiego nie obraża się bezkarnie, okazały się na ten użytek zbyteczne, gdyż żądane zadośćuczynienie dano. Ale wywarły one wpływ inny: dały przykład Rosyi, jak ma popierać swą wolę w Bułgaryi. *Nord* brukselski, będący tłomaczem dążeń gabinetu petersburskiego, powiada wyraźnie: my sobie zapamiętamy te trzy pancerniki i pójdziemy wskazaną drogą. Toż samo powtórzyły inne pisma rosyjskie. Może Bismark żałuje teraz swojej energii, może Kalnoky z lekka się na nią skarżył.

Walka rządu angielskiego z irlandczykami zaognia się coraz bardziej. Starcia policyi z ludnością wybuchają ustawicznie i przybierają coraz groźniejszy charakter. Jeden z uwięzionych posłów irlandzkich został skazany na kilka lat więzienia, ale to tylko rozjątrzyło innych. Obie strony gotują się do rozprawy zaciekłej.

A Bułgarya? Przystępuje do wyborów i czeka rozstrzygnięcia swego losu przez... wypadki, jak miano postanowić w Friedrichsruhe. Radosławow zaś tworzy własną partyę opozycyjną, która wszakże nie stanie pod sztandarem Cankowa i Karawełowa, lecz domagać się będzie działań energiczniejszych) przyłączenia trwałego Rumelii, ogłoszenia niepodległości państwa itp.).

Serbia zabiera się do bardzo ważnego dzieła, do rewizyi i przeróbki swej konstytucyi, która jako płód epoki strachu i zamętu (po zamordowaniu Obrenowicza) posiada liczne wady i nielogiczności. Do pracy tej powołana została nowa Izba.

Ks. Hieronim Bonaparte uznał za stosowne nie naśladować hr. Paryża i nie ryzykować się manifestem, wydał tylko zwykłą, śmiertelną, bez „my,“ książkę przeciwko Tainowi a w obronie swej rodziny i jej koronowanego założyciela.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

UROCZYSTOŚCI KRAKOWSKIE.

Wrzesień, 1887.

II. Wystawa krajowa.

Idę śladem prawników z sali obrad zjazdu na Błonia, gdzie się rozłożyły pawilony z okazami przemysłu, rękodzieł, rolnictwa i... bydła. Pióro wszakże musi ostatni dział przeskoczyć, raz dlatego, że jest niefachowe i na panteon rogaty oraz nierogaty spoglądałoby ze znawstwem bardzo umiarkowanem; powtóre, że nie chciałoby nawet w umyśle czytelnika tworzyć krzywdzących kojarzeń i narażać na czyjeś pomruki pana swego, również syna, choć nie całkiem wiernego, Temidy; potrzecie wreszcie, przybył on do prastarego grodu po zamknięciu odnośnej części wystawy i zastał już tylko „miejsce, gdzie niegdyś Troja była,“ wyróżniające się się zdaleka właściwym zapachem naszych karmicieli i karmicielek, w ścisłem znaczeniu słowa.

W tak uszczuplonym repertoarze ciekawostek najpiękniejszą jest bezwątpienia i najwięcej bawi oko przedewszystkiem... kopiec Kościuszki, mile rysujący się na pogodnem niebie a potem wzgórza, kędzierzawym lasem porosłe, pierwsze zwiastuny niedalekich Karpat. Dopiero numer trzeci w tym naturalnym katalogu zajmuje pawilon główny wraz z kilkoma mniejszymi, poświęconymi specyalnym gałęziom przemysłu. Razem — obóz niewielki i nie może iść w porównanie z terytoryum i mnogością budynków na wystawach naszych. Brak też tam elegancyi i smaku w urządzeniu i przyozdobieniu samego placu, co się łatwo tłomaczy pospiechem nadzwyczajnym. Natomiast strona zewnętrzna namiotów niewiele pozostawia do życzenia i nadaje im pozór barwnych pieścidełek, choć, rozumie się, z powodu skromnej ich liczby nie było

2)

KRYMINALISTA.

Odtąd wyprosiłem sobie od matki trzy bułki na śniadanie: jedną zjadały wróble, dwie zostawiałem pod krzakiem. Maksym zaś jeszcze dnia tego dostał robotę przy budowie sąsiedniego domu.

Ciągnęło mnie coś do tego człowieka; godzinami nieraz całemi patrzyłem na jego nieustającą, bez chwili wytchnienia pracę, na bezmierny spokój, z jakim dźwigał ciężary i ocierał pot z czoła.

Obserwacye te moje nie trwały długo, gdyż dnia pewnego Maksym znikł z miasta, znikł bez śladu. Dopytywałem się o niego, ale nic więcej nad to nie umiano mnie objaśnić, jak tylko, że nie opowiadając się nikomu, robotę opuścił i więcej do niej nie wrócił.

Z czasem znikł on mi nietylko z oczów, ale i z pamięci. Z dziecka wyrastałem na młodzieńca. W duszy mojej gorzało tysiące świętych ogni, zapałów, idei nowych i wzniosłych, które miały świat zbawić i lgnęły do mojej duszy, niby motyle lub pszczoły do kwiatów barwnych, wysysając z nich zdrowie i nadzieje.

— Co znaczy — mówiłem sobie wtedy— życie jednostki, wobec ogromu światów, które się roztaczały przed oczami naszemi; co znaczę ja cały wobec tej ludzkości, dziś mizernej i wątłej, którą odrodzić, której istnienie inne, szczęśliwsze, pewniejsze zabezpieczyć trzeba? Nic!.. doprawdy, że nic, albo tyle, co pyłek zaledwie dostrzegalny wobec wszechświata.

Dzięki takim pojęciom, głowa moja paliła się coraz to większym ogniem. Zdawało mi się wtedy, żem panem i królem świata, a najmniejszy opór przeciwko moim myślom, porywom, czynom, zamiarom, budził we mnie wulkaniczne wybuchy gniewu.

Opłaciłem je strasznie!

Poważono się raz ubliżyć w mojej obecności kobiecie, przed którą uchyliłem czoła. Wówczas szukałem walki, pożądaną mi była każda, więc tem skwapliwiej wyzwałem do niej potwarcę.

Przeciwnik mój był równie jak ja szaleńcem, zgodziliśmy się na pojedynek bez świadków, amerykański, z pistoletami przyłożonymi do piersi, z których jeden tylko był nabitym. Nieszczęście mieć chciało, iż nabity był właśnie w moich rękach — przeciwnik mój padł natychmiast po strzale, ja zostałem przy życiu, aby ciężko odpokutować za winę.

Pojedynek nasz sprawiedliwość uznała za morderstwo, pomimo tego, iż przeciwnik mój pozostawił objaśnienie w liście, nadano sprawie charakter inny i skazano na pozbawienie wszystkich praw stanu i roboty w kopalniach.

W dwudziestym tedy drugim roku życia znalazłem się z kilkunastoma towarzyszami w śnieżnej pustyni, z sercem smutnem, duszą roztęsknioną i podciętemi skrzydłami myśli.

Szliśmy, nie pamiętam już jak długo, aż dnia pewnego zapowiedziano nam odpoczynek parodniowy, z którego każdy po swojej a różnej drodze miał pójść dalej i pożegnać się z dotychczasowymi towarzyszami. Domek stojący tuż przy drodze, podobny zresztą do wszystkich domków na świecie, przyjął nas w swoje gościnne, ale mnie powabne progi. Podzielonym był na dwie części, z których większa była obszerną, zakopconą, brudną izbą, pamiętającą bardzo dawne czasy, jak to z jej zrujnowanego stanu wnosić było można. Z czarnych ścian tu i owdzie wyskakiwało jakieś nazwisko wypisane ostrzem szpilki, czy noża. Znać czyli je ci, co przed nami tym samym wędrowali szlakiem...

potrzeby rozmaitości, oryginalnych stylów i kształtów.

Wymieniać choćby tylko po łepkach wszystkie reprezentowane działy — nie na wiele przydałoby się. Każdy wie zawczasu, jaki jest skład tego rodzaju popisów, domyśla się, że ujrzy wielkie kotły, parą buchające kominy, narzędzia rolnicze, pojazdy wszelkiego rodzaju od prostych wozów i bryczek do przepysznych karoc wielkopańskich, przemysł garncarski, żelazny, przetwory chemiczne — słowem wszystko, co rozkładane bywa po straganach bazarów i jarmarków, aż do wódek, likierów, lub jak je Galicya nazywa, rosolisów, koniaków, które nie stanowią bynajmniej pięty Achillesowej polskiego i wogóle słowiańskiego przemysłu. Jeno tutaj panuje nastrój odświętny, czystość, jakiej w sklepach nie znajdzie, dobór prób bogaty i barwny, w fantastyczne piramidy, kioski i tym podobne figury geometryczne ułożony. Pod tym względem zawartość pawilonu głównego ma znakomitą przewagę nad analogicznym działem wystaw warszawskich. Snać sąsiedztwo niemców skądinąd dobrze podziałało, rutyna kupiecka oczywiście większa, umiejętność zjednywania nabywców zaletami wewnętrznemi i zewnętrznemi towaru — dalej posunięta. Tam każdy kącik jest — rzec można — ładnem muzeum, w którem widz z przyjemnością rozgląda się. Wielki zagon kwiatów pokojowych starannie podlewany, piętrzący się wielkimi liśćmi palm i puszystych kiści trzciny cukrowej, upstrzony różnobarwnem kwieciem, znalazł się wprawdzie niewłaściwie pomiędzy wytworami sztuki ludzkiej— ale przedstawia się okazale. Galanterya celuje bogactwem niepospolitem. Drukarze i fotografowie zaimponowali sztychami i odbitkami najprzeróżniejszej treści i rozmiarów. Introligatorstwo błyszczy zdaleka tak misternie i artystycznie wykończonemi okładkami do książek i albumów, o jakiem my, niestety, słabe tylko mamy pojęcie, nabyte zresztą dzięki Brockhausowi z Lipska i słonym bardzo cenom publikacyj ozdobnych, za granicą oprawnych. Stolarstwo i kunszt tapicerski nie wysadziły się na tak kosztowne meble, jak nasze, ale z większym daleko poczuciem piękna podały wzór buduarów i sypialni. Szeroko zostały uwzględnione tkaniny i odzież. W obawie zarzutów niekompetencyi zaznaczam jedynie, że jest w tej dziedzinie dużo godnego widzenia, począwszy od kosztownie wykończonych futer, a kończąc na niemniej kosztownej kierezyi krakowskiej, lamowanej złotem i srebrem. Dzisiaj, kiedy paniczykowie lubią dla zabicia czasu bawić się w popularność i występować w strojach narodowych i ludowych, podobne wybryki zbytku znajdują chętnych nabywców. Fabrykacya mydeł, pachnideł i wszelkich kosmetyków, na które do niedawna szły olbrzymie sumy w obce kraje, w ostatniej dobie znalazła swojskich przedsiębiorców i rozwinęła się szczęśliwie; należy ją powitać równie uprzejmie, jak ona zwiedzającego, któremu śle naprzeciw miłą woń millefleurs i innych perfum. Jak zwykle, i tutaj sporo nagromadzono fortepianów i pianin, które tem się różnią od naszych, że dziwią taniością obok mocnej budowy i wybornego głosu, chociaż nie zastanawiają wcale wykończeniem artystycznem, prawdopodobnie dla tego, ażeby nie razić bardzo wobec kapusty, buraków, brukwi i tym podobnych darów Cerery, roztasowanych nie wiem w moc jakiego prawidła estetyki — tuż obok na podłużnym stole.

Lecz po za obrębem przedmiotów, stereotypowo powtarzających się na egzaminach, jakie nasz przemysł przed ogółem zdaje — posiada wystawa krakowska pewne znamiona szczególne, żywioły odrębne i te nadają jej nowe zupełnie i ważne dla przemysłu polskiego znaczenie. Pomijam istne muzeum łowieckie, bogate trofeami większych polowań na dziki, niedźwiedzie i jelenie, odbytych ostatnimi czasy w lasach Potuszyckich i Pieniackich. Górskie okolice, zraszane wodami Czeczwy, Łomnicy, Czarnej, pokryte dziewiczemi niemal kniejami jak Porchinsk i Jasień, po dziś dzień jeszcze mają niedźwiedzie, rysie, wilki i zbiki, nie licząc chmar ptactwa dzikiego, jak głuszce i jarząbki. Lasy Staszowskie (gub. kielecka) zaimponowały niemniej koronami wspaniałych rogów. Jest tutaj cały skarbiec ozdób i przyborów myśliwskich, wypchanych okazów, a więcej jeszcze... wspomnień o latach, kiedy one do rzadkości nie należały. Pomijam już rybactwo, którego miłośnicy przedstawili wzór gospodarstwa rzecznego i stawowego, ułożyli mapę Galicyi wedle dorzeczy i krain rybnych, sprowadzili okazy ryb, a zwłaszcza pstrągów, podali przebieg wylęgu i hodowli, wreszcie przyrządy rybołówcze — jakkolwiek i na tem polu widać zrobiony krok naprzód. Głównie mam na myśli tak zwany przemysł domowy i jego szkołę. Poświęcono im osobne dwa budynki — wymowne świadectwo bogactwa materyału. Górale karpaccy i tatrzańscy, zarówno jak i chłopi nizinni uprawiają w Galicyi rozmaite kunszta i rzemiosła, w których dochodzą do dużej wprawy, a nawet doskonałości. Wyroby z gliny i drzewa, okucia żelazne napotkać można w pewnych stałych typach: dzbanków, garnków, lasek, toporków (ciupag), zabawek dziecinnych. Obok nich całe stosy tkanin grubszych i odzieży wieśniaczej, kożuchy i serdaki, fajki i cybuchy. I u nas zachwycano się niedawno wyrobem grzebieni i guzików na Kurpiach, śród których gałąź tę przemysłu zaszczepił p. Ludwik Krasiński, a także koszykarstwem, tkactwem: ale bez obawy przesady twierdzić można, że w Krakowie lepiej wogóle unaoczniono postępy rękodzieł wiejskich. Tam zaś, gdzie w pomoc sprytowi i pomysłowości prostaczej przychodzi inicyatywa i opieka z góry — rezultaty są nader obiecujące. Szkoła koronkarstwa, założona przed kilkoma laty w Zakopanem przez dr. Chałubińskiego, prowadzi się pod zdolnem kierownictwem i wydaje owoce nadzwyczaj cenne. Najdelikatniejsze rodzaje koronek, niewiele ustępujące zachodnio-europejskim, dowodzą wielce pomyślnego rozwoju zakładu, że zaś przedstawiony jest cały przebieg nauki na licznych okazach, przeto nie trudno nabrać pojęcia o teoryi ciekawej tej sztuki. Przeciwległą stronę pawilonu zajmuje szkoła rzeźbiarska także w Zakopanem; tu kształci się młodzież męzka w przemyśle drzewnym a zwłaszcza rzeźbie artystycznej. Obie instytucye tworzą dobraną parę; co zrozumieli widocznie przełożony i przełożona (państwo Neužyl), skoro połączyli się węzłem dozgonnym u oltarza, zapewne nie tak pięknego i drogocennego, jak zamówiony u sympatycznego ex-czecha przez jeden z kościołów krakowskich. Inne okazy tegoż pochodzenia na również gorącą zasługują pochwałę. Są tam subtelnie wykończone głowy, medaliony i całe grupy, które zdobić by mogły pracownię najwybredniejszego lubownika i mnóstwo też ozdób do rozmaitych przedmiotów użytku domowego, wytworne kałamarze, biurka, lustra, laski górskie, przyciski, pióra. Motywa czerpane są głównie z życia górali, a więc przeważają sceny myśliwskie, typy miejscowe, zwierzyna itp. Przypuszczam zresztą, że czterech czytelników na pięciu oglądało i jak ja podziwiało w Zakopanem warsztaty i modele szkoły, jej urządzenie rozsądne i dostatnie, choć bardzo wątpię, czy zawdzięcza je ona swemu charakterowi „cesarsko-królewskiemu.“

Przytułki dobroczynno-wychowawcze zaprezentowały pracę kobiet; i tutaj przeważają roboty ręczne: koronki, hafty, tkaniny itd.

W domku tym, jak nas objaśniono i jak niebawem mieliśmy sposobność sami zauważyć, gromadzili się zwykle przed ostatniem swem przeznaczeniem nietylko tacy, jak my, ale i tacy, których serca, głowy, namiętnych pragnień nie znały: takich, których myśli i oczy nie biegły w górę, a przeciwnie, zatrzymując się tylko na ziemi, brały z niej to, co najnikczemniejszem było. O takich ludzie mówią: to zbrodniarze, prawo — to kryminaliści.

W izbie, do której nas wprowadzono, stały rzędem pod ścianami drewniane prycze; na każdej z nich leżał siennik cuchnący i brudny; ziemia czarna przedstawiała się jakby ruchoma od niezliczonej ilości owadów, wędrujących po niej z całą swobodą. Każdy z nas witał ten swój odpoczynek dreszczem wstrętu, a nie zadowoleniem z chwili pożądanego spokoju...

Pomimo to jednak, ciało nasze, po kilkodniowej wędrówce, musiało uledz prostym wymaganiom natury. Każdy wzdrygał się przed tem łożem, na którem miał odpoczywał, a jednak owijał się szynelem szarym, zabezpieczając się w ten sposób przed natręctwem owadów złośliwych, głowę osłaniał i do snu się układał, rozwijając dalej nitkę swych marzeń wobec przykrej i strasznej rzeczywistości.

Dość wczesnym rankiem nazajutrz obudził nas brzęk żelaza. Oryginalny ten sposób budzenia postawił nas wszystkich prawie jednej chwili na nogi — jak iskra elektryczna, jak piorun.

Do izby, gdzieśmy odpoczywali, wprowadzono kilkunastu ludzi skutych w jeden łańcuch i z mniejszą aniżeli nas pobłażliwością.

— Na tych przynajmniej nie znać trudów podróży — pomyślałem sobie, pilnie badając twarz każdą, każdy ruch przybyłych, których wreszcie rozkuto.

Ujrzawszy nas, poczęli witać serdecznie, wyciągać ręce, ściskać, nawet obejmować za szyję. W nich wesołość objawiała się naturalnie, a nie tak sztucznie, jak u nas. Opowiadali sobie dziwne rzeczy, przeplatając opowiadanie przekleństwami najbrutalniejszemi. Nie rzucili się od razu tak, jak my, na tapczany, aby odpoczywać, ale posiadali wkoło na ziemi w środku izby, jakby do narady. Jeden z nich dał znak, wszyscy zamilkli.

— Hej — zawołał on — pójdziemy stąd w różne strony, trzeba się pieniędzmi, co dobrzy ludzie dali, podzielić, jak przykazał Pan Bóg i Matka Boska.

Tu, wypowiedziawszy powyższe słowa, ów człowiek począł wyciągać ze wszystkich kieszeni szynela, kamizelki, spodni, garściami, wielką ilość rozmaitej monety, mniejszej lub większej wartości. Każdą garstkę miedziaków kładł na podłodze i mówił:

— To dali dobrzy ludzie w Moskwie.

To dali dobrzy ludzie w Kazaniu, a to w Wiatce itd itd., aż póki na ziemi wszystkich pieniędzy nie wyłożył; wtedy kieszenie poodwracał, tak, aby towarzysze jego mogli stwierdzić, że nic już w nich niema, odsapnął i spoglądał po otoczeniu.

— Oblicz, ojczulku, *starszyno*, oblicz — poczęto wołać ze stron wszystkich.

Ten, co go nazywano starszyną i którego tak dziwny otaczał szacunek tych potępieńców, z powagą wielką pieniądze znów z kupek zbierać zaczął i rozkładając je na podłodze, liczył. Towarzysze jego w milczeniu, z chciwością wybitnie rysującą się na ich twarzy, patrzyli na ręce starszyny i wraz z nim cicho, poruszając ustami, rachowali grosz jałmużniczy, ofiarowany przez tych, którzy mieli dobre serca.

Z rachunku wypadła bardzo pokaźna suma jak na biedaków, wynosząca kilkadziesiąt rubli; rozdzielono na pojedyncze działy, każdemu ze wspólników przyniosłoby pięć rubli z kopiejkami.

— No! bracia, niech każdy bierze swoje— zawołał starszyna. Nikt jednak po pieniądze ręki nie wyciągnął, a jeden z otoczenia zawołał:

Dla uzupełnienia szkicu napomknąć trzeba o t. z. wystawie etnologicznej. Szyld to nieco za szumny — każe spodziewać się całej charakterystyki życia prywatnego i społecznego plemion, zamieszkujących kulę ziemską. Oczywiście wymagania zmniejszyć należy do granic kraju zgodnie z nazwą wystawy. Jakkolwiekbądź i tak czegoś nauczyć się można i oko czem nasycić. Na manekiny i figury woskowe (od siedmiu boleści) nawieszono stroje włościan polskich wszystkich okolic. Znajdziesz tu kurpia, hucuła, mazura, krakowiaka, kujawiaka, gazdę tatrzańskiego — szkoda tylko, że ustawieni są jak w szafach sklepowych, bez konceptu i smaku.

Ale tego przeglądu dosyć. Boję się nadużyć gościnności *Prawdy*. Zapytany o sąd ogólny a stanowczy, bez wahania okazałbym zadowolenie raczej, niż rozczarowanie. Zresztą warszawiakowi trudno ocenić bezstronnie, bo w odmiennych warunkach żyje. Musi się posiłkować zdaniem znawców miejscowych. Ci zarzucają wystawie wiele braków, wynikłych z nowicyuszostwa i pośpiechu, a za probierz obierają takąż wystawę, urządzoną lat temu dziesięć we Lwowie. Zauważono znaczne unarodowienie się przemysłu od owego czasu, ale i utyskują na słaby udział jego przedstawicieli w tym konkursie powszechnym. *Nowa Reforma* porównała liczbę uczestników teraźniejszych i dawniejszych; wypadła we wszystkich bez wyjątku działach wielka różnica na korzyść pierwszych.

Chociaż kuszą przeróżne cacka artystyczne i wizerunki i pamiętniki i proszą się formalnie, by je kupić — wracasz do domu zazwyczaj z pustemi rękami. Właściciele powabnych drobiazgów znają widocznie ich siłę przyciągającą, więc nałożyli ceny tak... arystokratyczne, że chętka jak pod wpływem różdżki czarodziejskiej znika.

Pocieszasz się więc wycieczką do Parku krakowskiego, gdzie na rzecz jakichś pogorzelców bawi się cały tłum mieszkańców i przybyszów. Czem? Widokiem zuchów, drapiących się na słup dla zdjęcia — chorągiewki, weselem krakowskiem, jazdą na scating-ringu, jakimś rydwanem zaprzężonym we dwa kozły, wyścigami czółen pstrych na kałuży, zwanej stawem. Zwolna porusza się zbita masa gapiów płci obojga; owiewa cię zewsząd atmosfera szyku i elegancyi, od strony „protektorów“ zabawy dochodzą dźwięki mowy francuskiej. Szczęściem bierze górę nad nimi stepowo-smętna i stepowo-dzika nuta rapsodyi Liszta wdzięczny wzrok zwraca się ku orkiestrze, co cię tak niespodzianie z chaosu tego w inne światy przenosi...

Cezary Jellenta.

LISTY KRAKOWSKIE.

24 września.

Objawy postępu. — Wystawa. — Jej przeciwnicy. — Sztuka na wystawie.—Zjazdy.— Hr. Potocki i dziennikarze. — Wizyta Gautscha. — Odwiedziny węgrów i głos *Pester Lloydu*.

Rok bieżący więcej aniżeli którykolwiek z jego poprzedników dostarczył materyału do charakterystyki naszego grodu. Dzięki różnorodnym obchodom, jakich widownią stał się on w ostatnich czasach, ogół zapragnął też dopatrzeć w tej atmosferze życia krakowskiego jakiegoś żywszego tętna, znamionującego żywotność społeczeństwa, które jak dotąd czczemi tylko, zewnętrznemi manifestacyami zaznaczało swe istnienie i działalność. Snadź potrzebę tego rodzaju odczuli i krakowscy mężowie stanu, gdy uchwalali urządzenie wystawy krajowej rolniczo - przemysłowej. Myśl samą a więcej jeszcze jej urzeczywistnienie uważać należy w naszych stosunkach za objaw bardzo dodatni, za krok naprzód w sferze czynu, a zapowiedź pomyślniejszego zwrotu, który, bądź co bądź, ujawnia pewien stopień wyższego uświadomienia celów społeczeństwa i dążność do spełniania najracyonalniejszych podstawowych zadań bytu i postępu cywilizacyjnego i ekonomicznego.

Dziwne losu koleje przechodziła wystawa krakowska, zanim myśl przygodnie rzucona przyoblekła się w ciało. Wiele trzeba było zwalczyć niechęci, waśni osobistych, uprzedzeń, które nieodłącznie towarzyszą każdemu projektowi ludzi, zmierzających wytrwale do urzeczywistnienia powziętej myśli w imię zasad postępu i pracy, wiele naturalnych przeszkód usunąć, zanim udało się rzecz samą w zasadzie przeprowadzić. I oto mamy dziś przed sobą wynik tych złączonych usiłowań i trudów, wynik, nad którym optymiści zbyt unoszą się a pesymiści z ubolewaniem ruszają ramionami, w każdym jednak razie rezultat, będący owocem zdrowej myśli i rzetelnej pracy, dobrej wiary i woli. A jeżeli dostrzegamy niechęć pewnych kół, niewłaściwą i trudną do usprawiedliwienia, to źródłem jej nieszczęsne stosunki nasze, gdzie najdonioślejsze dla ogółu sprawy rozbijają się o osobiste pretensye i rozterki, gdzie chodzi głównie o osoby a nie o sprawy. Nas przestało to już dziwić: w wirze tutejszych walk koteryjnych jest to objaw zwykły.

Stosownie do założenia ma wystawa krakowska charakter przeważnie rolniczo-przemysłowy a w całości przedstawia się nierównie korzystniej, niż początkowo spodziewać się było można. Na 13 morgowej równinie „Błoń“ rozsiadło się 34 pawilony, z pośród których wystrzelają w górę trzy bizantyńskie kopuły budynku centralnego. W nim znalazły pomieszczenie okazy drobniejszego przemysłu i dział ten istotnie jest najciekawszym. Zacofana stanowczo w dziedzinie wielkiego przemysłu, w drobnych jego gałęziach Galicya coraz bardziej postępuje, a świadczy o tem wymownie bogactwo i różnorodność okazów pomieszczonych w głównym pawilonie, tudzież okazy krajowych szkół przemysłowych i przemysłu domowego. Uwzględniwszy, iż na wystawę krakowską zdobył się kraj własnymi wyłącznie funduszami i siłami, niewsparty prawie zupełnie pomocą rządu, który na cele podobne w innych krajach zwykle z hojnym spieszy zasiłkiem, przyznać musimy, że wykazała ona swojskie postępy i jakkolwiek będzie jej rezultat finansowy, wytworzy niewątpliwie pożądane zmiany w autonomicznej organizacyi miasta a krajowi i stolicy niezawodna i rzetelną korzyść przyniesie. Kto zna stosunki ekonomiczne i warunki, w jakich Galicya obecnie się znajduje, pojmie łatwo, iż więcej na razie od niej wymagać niepodobna. To, co wystawa przynosi, świadczy w każdym razie o rozwoju i jest nader ciekawym przyczynkiem do dziejów cywilizacyjnego i ekonomicznego życia kraju w ostatnim lat dziesiątku.

Szczęśliwa była myśl połączenia wystawy sztuki polskiej. Wystąpili tu wszyscy najcelniejsi polscy malarze i rzeźbiarze z tworami pędzla i dłuta, a co godnem jest zaznaczenia, mistrzowie w ostatniej chwili usunęli się od konkursu, młodszej braci pozostawiając wolne pole we współubieganiu się o palmę pierwszeństwa. Patrząc na ten rozkwit sztuki polskiej, z żalem uznać trzeba, że ona przechodzi możność pokupu w kraju i w tem leży odpowiedź na pytanie, dlaczego tylu artystów naszych przebywa za granicą. Nabycie jakiegoś większego dzieła budzi tu takie zdumienie, że gdy jeden z magnatów w dniu otwarcia wystawy kupił szereg rysunków Stachiewicza za 1,200 zlr., wieść o tem tysiąckrotnem echem po-

---

— Ej! co tutaj dzielić, kiedy niema czem. Ot poprosić pięknie a posłać, niechaj nam przyniosą czem gardło przepłukać i basta.

Propozycyę przyjęto krzykiem takim, że aż szyby w izbie zadrżały. Po upływie godziny rozpoczęła się pijatyka, o jakiej wyobrażenia nie może mieć ten, co na nią nie patrzał. Najszpetniejsze, zezwierzęcone strony natury ludzkiej wystąpiły tutaj w całej pełni. Izba nasza stała się jakimś przedsionkiem piekła. Wyziew wódki przepełniał tak atmosferę jej, że my, nie biorąc udziału w tej orgii, byliśmy nią odurzeni, prawie pijani także.

A słowa, a przekleństwa, a zwierzenia, jakie z ust tych ludzi dolatywały uszów naszych, mogły wstrętem przejąć do rodu ludzkiego nawet gołębią prostotę.

Dzień cały wobec tej orgii przepędziliśmy smutni. Zgraja przybyszów zapraszała nas do udziału w tej zabawie, przynosiła w czarkach wódkę, zachęcając do picia serdecznem wylaniem i opowieściami tajemnic swych zbrodni.

Nazajutrz większą ich część posłano dalej; trzeciego dnia resztę wraz z kilkoma towarzyszami naszego oddziału, na czwarty dzień śród reszty nas pozostał już tylko jeden z całej tej bandy. Spojrzałem na tego ostatniego, który miał być towarzyszem podróży naszej aż na miejsce przeznaczenia. Jego rysy twarzy, zachowanie się całe, ponure, z uśmiechem łagodnym na twarzy, przypominały mi kogoś znajomego w przeszłości. Nie byłem w stanie jednak przypomnieć sobie, gdzie i kiedy go widziałem.

Uważałem, że w czasie orgii pił najwięcej ze wszystkich i najmniej mówił, ust prawie nie otwierał, a trunek na nim jedynie nie wywierał skutku, tak jakby był wodą a nie spirytusem. W nocy uważałem, że spał spokojnie, że się wygodnie na tapczanie wyciągał i że się nie budził wcale. Uspokoiło mnie to, nabrałem przekonania, że nie jest on wielkim zbrodniarzem.

— A wy skąd?.. — spytałem go, chcąc się dowiedzieć, gdzie go już widzieć mogłem.

— Ze świata — była odpowiedź chłodna, spokojna, wygłoszona w tonie pozwalającym przypuszczać, iż pytany nie miał wcale ochoty do zwierzeń.

Udałem jednak, że tej niechęci nie zrozumiałem, pytałem więc dalej:

— A na jaką karę jesteście skazani?

— W katorgu — odrzekł tym samym tonem.

— Na długo?

— Na życie całe.

— Cóżeście takiego człowieku zawinili?

— Zabiłem pięciu ludzi, pewnej nocy...

Ani jeden mięsień w twarzy nie zadrgnął mu przy tych słowach, nawet uśmiech nie uciekł na chwilę z policzków, przeciwnie, zarysował się wyraźniej jeszcze. Zwrócił tylko ku mnie swoje błękitne jak lazur nieba oczy, w których spokój dostrzegłem i spytał nawzajem:

— A ty?.. gdzie idziesz?..

— W twoją drogę..

— Czy i na moje lata?..

— Nie, na czas krótszy.

— To i ty mordowałeś?..

— Nie!..

Nie kłamałem — przecież zbrodnia moja nie była zbrodnią...

— Tak za cóż?...

Westchnąłem, on zatrzymał na mojej twarzy swe oczy, długo w nią patrzył i dodał:

— Ja ciebie już gdzieś widziałem... W Tule... nie w Tule..., w Orle, nie w Orle... aha, czyś ty nie był tam, nad Narwią?..

— W O... — zawołałem — ale jeszcze dzieckiem...

— Piętnaście lat mija, jak tam byłem.

— Maksym!.. zawołałem radośnie, przypomniawszy sobie nagle tego człowieka.

— Tak, ja...

(D. n.)

M. Wołowski.

chwalnem odbijała się w szpaltach dzienników.

Dzięki wystawie widnokrąg Krakowa przedstawia dziś nieprzerwane pasmo zjazdów, zgromadzeń, wieców i zbiorowych narad ludzi najróżnorodniejszych stanów, zawodów, zajęć i przekonań politycznych. I tak najpierw mieliśmy walne zebranie obu krajowych towarzystw rolniczych w połączeniu z naradą hodowców bydła i gorzelników; następnie zjazd galicyjskich kółek rolniczych, w którym wzięło udział dwustu szlązaków, przybyłych na wystawę z p. Cieniałą; rozprawiali dalej przez dni trzy prawnicy i ekonomiści, zjazd galicyjskich i bukowińskich notaryuszów, wreszcie chrześciańskich kupców i przemysłowców, oraz łączący się z tymże poniekąd wiec rękodzielników. Zaiste szereg wcale poważny i chyba o zastoju w dziedzinie życia społecznego nieświadczący. Aczkolwiek większość uchwał nosi cechy czysto akademickich i teoretycznych orzeczeń, które, wątpić należy, czy kiedy doczekają się urzeczywistnienia, to jednak w każdym razie samo zaznaczenie i wyrażenie pewnych pragnień przez poważne ciała zbiorowe bodaj w cząstce przyczynić się może do poprawy stosunków.

Komisya wyrokująca wystawy rozpoczęła już swe czynności. Jak zwykle, w podobnych razach nie brak niezadowolonych. W istocie też trudno nie zauważyć, że komisya w wielu wypadkach kierowała się osobistymi stosunkami i względami i że jak wszędzie uprzywilejowani i zapisani „partyi“ wyszli z zapasów zwycięzko. Niepojętem też jest lekceważenie, z jakiem komitet wystawy traktuje sędziów. Zaproszenia na uroczystość otwarcia tudzież świeżo karty wstępu, oraz wezwania na posiedzenia rozsyłane im bywają umyślnie tak późno, aby jury uniemożliwić wszelką działalność. Okoliczność ta spowodowała posła Hausnera do wystąpienia z komitetu sędziów wystawy sztuki.

W kronice wypadków bieżących nie brak i komicznych. Pragnąc uczcić licznie zebranych w mieście dziennikarzów, komitet wystawy wydał dla nich ucztę. Złośliwi utrzymują, że chciał tem uczynić niespodziankę i osobliwą rozrywkę prezesowi wystawy, hr. Arturowi Potockiemu, pragnącemu się zabawić widokiem literatów i udzielić temu gatunkowi ludzi kilku światłych wskazówek, zaczerpniętych z doświadczeń własnego żywota. Na nieszczęście w szczupłej garstce uczestników znalazł się jeden prawdziwy gazeciarz p. Platon Kostecki, który wypowiedzeniem ostrych słów prawdy odważył się popsuć humor panu hrabiemu ku wielkiemu zgorszeniu redaktora *Przeglądu powszechnego* oraz pewnego akuszera, służącego wytrwale „stronnictwu.“

Z największą niecierpliwością oczekujemy tu zapowiedzianych na ostatnie dni b. m. odwiedzin ministra oświaty Gautscha. Jakie będą pozytywne rezultaty tej przejażdżki, trudno dziś przewidzieć, faktem jest jednak, iż ujemnie wpłynąć ona nie powinna na nasz kraj i że projektowana redukcya szkół średnich nas nie dotknie. Naoczne obejrzenie rzeczywistości w wielu wypadkach skuteczniej przekonywa, niż najgruntowniejsze referaty, no, a już chyba powracającemu z objazdu innych prowincyj monarchii ministrowi galicyjskie stosunki szkolne różowo się nie przedstawią.

Jedną z ostatnich i najgłośniejszych uroczystości wystawowych były odwiedziny Węgrów. Po trzechdniowym pobycie goście nasi wczoraj opuścili miasto, unosząc zapas wrażeń, któremi odświeżać zamierzają sympatye dla nas mocno nadszarpane w ostatniej dobie parlamentarnej. Nie przepomniał też tej okoliczności *Pester Lloyd* w pełnym żółci artykule, dając nauki kołu polskiemu co do przyszłego zachowania się w parlamencie i zerwania z sympatyami czeskiemi. Płytki i bezkrytyczny ten artykuł, w najniewłaściwszej zamieszozony chwili, obudził przykre uczucia i nie przyczynił się bynajmniej do spotęgowania wzajemnego wylewu uczuć. Przyjęciem obecnem, jakkolwiek ono wypadło, spłaciliśmy dług wdzięczności względem węgrów zaciągnięty.

Veraz.

SPRAWY EKONOMICZNE.

BANK WŁOŚCIAŃSKI
dla Królestwa Polskiego.

Nasz lud rolny wkrótce pozyska podnietę dla swojej namiętności nabywania ziemi — w stałe i prawidłowo działającej instytucyi kredytowej. Niebawem opiekuńcze ramię ziemskiego Banku włościańskiego, istniejącego dotychczas tylko w Rosyi i guberniach południowo-zachodnich, obejmie i Królestwo Polskie. Dla fortun szlacheckich, i tak już topniejących, będzie to gorący powiew na wosk... System parcelacyjny, tylokrotnie zalecany przez naszych ekonomistów, stanie na pewniejszych nogach, niż dotychczasowe — lichwiarskie. Nadto chłop nasz, w niektórych zakresach swego życia nieco zindywidualizowany, posunie się w tym kierunku jeszcze dalej, gdy mu bank zacznie dawać poglądowe lekcye ustroju współczesnego. Zasmakuje w nich, dopasuje się myślą i uczuciem do nowych dźwigni swego bytu gospodarczego i będzie ocalony dla cywilizacyi dzisiejszej.

Po zestawieniu napomknień, szerszych wiadomości i ważniejszych ustępów projektu, podawanych przez prasę rosyjską, otrzymujemy następujący zarys banku: Pożyczki udzielane będą osobom polskiego, litewskiego i rosyjskiego pochodzenia, podpadającym ukazowi z d. 2 marca 1864 r. Tylko nabywcy posiadłości włościańskich, zostających pod opieką rzeczonego ukazu, jako też obciążonych służebnościami, nie będą korzystać z pożyczek. Ostatnia okoliczność, jako przeszkoda, znika, gdy serwitut służy samym nabywcom lub w nieznacznym tylko stopniu krępuje swobodę użytkowania ziemi, jak np. prawo przejazdu, przeprowadzenia kanałów ściekowych, kopania gliny i piasku w miejscach określonych, wypasu na ścierniskach niewielkiej ilości bydła itp. Osobnego oszacowania nabywanych przez włościan gruntów dokonywają oddziały Banku. Tak przy oszacowaniu normalnem jak specyalnem pożyczka udzielona jest dwojakiego źródła: z zasobów Banku nie wyżej nad 75% sumy szacunkowej i z funduszu użyteczności publicznej Królestwa Polskiego w stosunku nie więcej niż 25%, licząc w to opłaty niezbędne przy tranzakcyi. Wiadomo, że w Rosyi i guberniach zachodnich, nabywając ziemię ze współudziałem Banku, chłop owe 25% dopłaca z własnej kieszeni; korzystają więc tam z kredytu rządowego tylko zamożni. Prawodawca tę tamę usuwa w Królestwie celem „wzmocnienia włościaństwa jako klasy,“ co tem łatwiej daje się uskutecznić, że wolny jak ptak okruch skapitalizowanej za 25 lat renty szlacheckiej stanowi ów kapitał użyteczności ogólnej *).

Gmina u nas jest jeno jednostką zarządu, nie zaś gospodarczą. Jest ona sztucznem zbiorowiskiem samodzielnych gospodarzy-rolników. Twórcy planu Banku faktu tego nie przeoczyli. Stąd też wymagany wyrok gminnego zebrania przy nabywaniu całą gromadą gruntów nie uczynili zależnym od $^2/_3$ członków, jak w Rosyi i guberniach zachodnich, lecz od ogólnej liczby mających głos. Znać w tem dążność do zabezpieczenia swobody działania gospodarczego mniejszości niesolidarnej. Jednogłośna uchwała gromadzka nabycia ulega poświadczeniu wójta; zobowiązanie zaś wzajemnej rękojmi przy kupnie spółkowem zaświadcza się przyjętym sposobem rejentalnym.

Ale oto następuje punkt w zamiarze prawodawczym, godny szczególnej uwagi. Idzie tu o dowody, które należy przedstawić w oddziale Banku przed uzyskaniem pożyczki. Wstępne kroki kupna-sprzedaży odbywają strony zupełnie samodzielnie, Bank zostaje po za kołem tych czynności. Dopiero wynik ich, w postaci dowodów, interesowani wnoszą do instytucyi; jej władza je bada, a następnie ujawnia cel swego istnienia. Co się tyczy Królestwa, oprócz dokumentów objętych art. 19 ogólnego postanowienia o Banku włościańskim, wymagane są jeszcze inne, uwarunkowane stosunkami miejscowymi, mianowicie: od nabywców *poświadczenie*, że są polskiego, rosyjskiego lub litewskiego pochodzenia i podpadają ukazowi 2 marca 1864 r., tudzież *lista* nabywających ziemię gospodarzów z wykazem ilości głów płci męzkiej w rodzinie każdego, wieku, jako też rozmiaru posiadanej ziemi. Oba dokumenty wydaje wójt danej gminy, a poświadcza komisarz włościański. Sprzedawca zaś winien dostarczyć *inwentarz* majątku zbywanego, jeśli zaś jest obarczony długiem Towarzystwa, to *kopię inwentarza* (stosowie do art. 10 przepisów 24 (12) lipca 1869 r.), w razie gdy posiadłość była oszacowana przez Towarzystwo — *kopię taksy*, następnie *plan* majątku, potwierdzony przez mierniczego przysięgłego i posiadacza, *wyciąg* z hipotecznego skorowidza i *świadectwo* naczelnika powiatu o wysokości płaconych ciężarów publicznych.

Długi hipoteczne, ciążące na majątku, nie stanowią przeszkody do udzielenia pożyczki z Banku, jeśli suma ich nie przewyższa sumy wyznaczonej pożyczki wraz z należnemi od nabywcy opłatami. Roszczenia wierzycieli zaś, niezależnie od terminu, natychmiast mają być umarzane z osiągniętej ceny sprzedaży. Jeśliby zaś dług nie dał się zupełnie pokryć, grunty nabyte z pomocą Banku nie mają się obarczać nowemi zobowiązaniami wierzytelnemi. Na zasadzie ustaw hipotecznych Królestwa Polskiego z r. 1818 i 1825 (o hipotekach i przywilejach) istnieją długi, cieszące się pierwszeństwem (np. powinności państwowe, podatki gminne, skarbowe, opłaty towarzystwom ogniowym, niezapłacone zasługi służby itp.). Ze względu jednak na bezpieczeństwo interesów Banku, wypadnie i do Królestwa zastosować art. 23 ustawy instytucyi włościańskiej, mianowicie, w razie sprzedaży gruntu zastawionego w Banku, jego dług postawić na pierwszem miejscu, na drugim zaś — pożyczkodawcy poprzedniego posiadacza. Gdy posiadacz gruntu, nabytego ze współudziałem Banku, uiści się mu z połowy długu pożyczkowego, ponownie mienie obciążyć będzie mógł tylko na mocy szczegółowego za każdym razem wyroku rady Banku.

Zgodnie z dążnością prawodawców wzmocnienia żywiołu włościańskiego, który we-

*) Warto znać pochodzenie i losy tego zasobu. Mocą ukazu (d. 22 (10) maja 1860 r.) o określeniu rozmiarów kapitału zapasowego Towarzystwa kredytowego ziemskiego, z 2,918,830 rs. 24½ kop. swobodnego zapasu tej instytucyi obrócono na ten cel 1,649,430 rs., z pozostałej zaś części (1,269,400 rs. 24½ kop.) stworzono ów fundusz użyteczności publicznej. Miał on posłużyć do bezterminowego oczynszowania włościan w majątkach prywatnych. Powstanie, a wślad za niem ukaz z d. 2 marca 1864 r. o uwłaszczeniu wyręczyły fundusz. Tymczasem zaś przelany do kasy b. Banku polskiego i skarbu wzrastał odsetkami. Następnie z procentów jego osiągano przeróżne cele: założono 235 kas gminnych pożyczkowo-oszczędnościowych, wzmacniano brzegi Wisły pod Warszawą i ostatnio przeznaczono około miliona rubli na nowy szpital obłąkańców w Warszawie, tudzież na regulacyę Wisły. Obecnie zasób ten po dzień 1 stycznia 1888 r. wyniesie 3,059,886 rs. 41 kop.

dług praw państwowych stanowi szczególnie *klasę podatniczą*, role nabyte z pomocą Banku mają podpadać również ukazowi 2 marca 1864 r., odnośnie do użytkowania ich i spadkobrania.

Akty kupna włościan wspartych kredytem rządowym, wolne mają być od opłat kancelaryjnych (i t. z. „kriepostnych“). Opłaty odsetków bankowych ($2^3/_4$% prowizyi i 1% umorzenia przy pożyczce na $24\frac{1}{2}$ lata, a $\frac{1}{2}$% przy pożyczce na $34\frac{1}{2}$, tudzież na wydatki bankowe i umorzenie kapitału zapasowego — $\frac{1}{2}$%) włościanin opłaca w oznaczonych terminach. Niewypłacalność pociąga grzywnę, której uniknięcie przypuszcza ustawa. Wystarczają świadectwa o klęskach pożyczkobiorcy, wydawane przez komisye gubernialne do spraw włościańskich.

Strona administracyjna Banku taki ma wygląd: Skład rady stanowią prezes i jeden, a w razie znacznego rozwoju — dwaj członkowie z ramienia ministra skarbu, stały członek miejscowej gubernialnej komisyi do spraw włościańskich i członkowie z wyboru gubernatora. Skład ten ma być jeszcze wzmocniony członkiem komisyi włościańskiej przy ministeryum spraw wewnętrznych, który będzie obecnym z prawem głosu w radzie podczas roztrząsania spraw o pożyczki.

Fundusz użyteczności publicznej przelany zostanie do kasy Banku, gdzie będzie wzrastał z zysków instytucyi.

Taki jest szkielet dotychczasowego projektu; jakie zaś na nim narosną mięśnie wykonawcze, przyszłość pokaże. To tylko pewna, że instytucya ta wobec interesowanych wystąpi w roli opiekuńczej i doniośle zaważy w znaczeniu moralnem i materyalnem na szalach naszego społeczeństwa.

Zygmunt Fietkiewicz.

BADANIA NAUKOWE.

CZŁOWIEK A PRZYRODA *).

„Wśród niższych plemion, powiada Tylor, wojna stanowi społeczną konieczność. Austryalczycy lub czerwonoskórzy, gdyby jakieś jedno stulecie przeżyli w zgodzie, wyniszczyliby wszystką zwierzynę.“ Taki stan rzeczy tkwi w nizkim poziomie kultury materyalnej — w nieumiejętności wyzyskiwania przedmiotów świata zewnętrznego na korzyść ludzką i w nieznacznym stopniu wytwórczości. Sam zaś rozwój panowania człowieka nad przyrodą posuwa się zwolna; jakkolwiek walka z siłami natury i naginanie ich do potrzeb ludzkich stanowi warunek istnienia, człowiek wszakże bardzo niechętnie uznawał konieczność zapasów czynnych. Jak zobaczymy z przytoczonych w toku artykułu przykładów, bierne zachowanie się wobec przedmiotów i zjawisk przyrody jest ogólną zasadą dziejową, którą przestrzegano to nieświadomie, to z zupełnem zdawaniem sobie sprawy; tymczasem działanie zaczepne, w zamiarach nagięcia przyrody do żądań ludzkich, przedstawia wypadek wyjątkowy. Wprawdzie te wyjątki nie są znów tak bardzo rzadkie, gdyż bez wszelkiej walki człowiek zaginąłby; lecz warto pamiętać, że i obecnie nie przyjęto jeszcze ogólnie tej prawdy, że wszechstronne, nieprzerwane zapasy z przyrodą są prawidłowym stanem ludzkości. Praca nigdy też nie stanowi podstawy pierwotnych stosunków własnościowych, lubo znajduje się wielu pisarzy, broniących tego poglądu. Przeciwnie, „w pierwotnych społkowinach, wielkiem źródłem prawa jest powaga, zwyczaj, przypadek“ (Maine). Część, przypadająca członkom i pracownikom, określa się nie ilością włożonej przez nich pracy, lecz za pośrednictwem rzucania losów, losy zaś są zdaniem się na wolę sił przyrody lub ukrytych po za niemi bogów. Tak, w zwyczajowem prawie niemieckiem, miedza przeprowadza się przez miejsce, do którego dotoczy się jajko, dolci rzucony dziryt itd. Granice wodnej posiadłości zależą od tego, dokąd może dojechać uzbrojony jeździec bez niebezpieczeństwa utonięcia. Żniwiarka, pracująca na obcej roli, ma prawo do zabrania takiej ilości zboża, ile pomieści się w jej chustce, i ulega karze, gdy z chciwości zagarnie większą, niż wytrzymać zdoła płótno. We wszystkich przytoczonych przykładach przypadek, lecz nie praca określa wielkość władania i posiadania. Praca nigdy nie spoczywa w podstawie pierwotnego prawa zwyczajowego i dopiero zaczyna odgrywać tę rolę z zapanowaniem umowy kontraktowej. Zresztą inaczej być nie mogło w czasach, kiedy na wydajną pracę patrzono, jako na zamach względem przyrody (tj. bogów).

Walka z przyrodą przedstawia niesłychane trudności na pierwszych szczeblach rozwoju, ponieważ narzędzia do jej prowadzenia są słabe i nikłe. Zwycięztwo osiąga się z ogromnymi mozołami. Nic dziwota, iż „karczownicy roli z pod lasów uchodzą zawsze za dobroczyńców rodu ludzkiego i bohaterów.“ Ale i samo wydostanie plonu z oczyszczonych już gruntów natrafia na niezmierne zawady — w zielsku zostaje często zagłuszonym zasiew. I takie trudności spotyka człowiek w tem większych rozmiarach, im jest bezbronniejszy. Przyroda wznieca w nim przedewszystkiem uczucie strachu; przypisuje on wszelkie niepowodzenie nie własnej bezsilności i nieumiejętności, lecz gniewowi natury (a raczej podszytych pod nią bogów) za chęć jej zgwałcenia. Zdaniem umysłu pierwotnego, wszelka nieznana dotychczas próba nagięcia sił przyrody pociąga za sobą karę. Czynne działanie uchodzi za świętokradztwo, za grzeszne doświadczanie opatrzności; bierność uważa się za postępowanie bogom przyjemne. Człowiek, po przez szeregi pokoleń przywykłszy do nierobienia tego, czego nie mógł dopiąć znajdującymi się w jego rozporządzeniu środkami, podniósł taką bierność do zasady. Podobnie jak teraz względem stosunków społecznych, tak samo niegdyś stosowano do przyrody pogląd, iż niepodobna i niewolno zmieniać jej biegu. Głoszono doktrynę najzupełniejszego *laissez-faire, laissez-passer*.

U budystów każde dzieło ludzkie jest niedoskonałe, bo stanowi zamach na harmonię naturalną; według Tertuliana, „rzeczy naturalne są tworem Boga, praca zaś, która je przekształca, dzieckiem dyabła.“ Ludy germańskie, z bojaźni, ażeby nie ściągnąć gniewu bóstw wodnych, nigdy nie mierzyły głębokości rzek i jezior; podanie opowiada, że, gdy pewnego razu jakiś pływak chciał to uczynić, dał słyszeć się głos: „zaczniesz sondować — pożrę cię!“; młynarz i obecnie uchodzi jeszcze za czarodzieja, gdyż bez stosunków z nieczystemi siłami nie będzie mu się wiodło. Postanowienie senatu staro-rzymskiego o uregulowaniu koryta Tybru tylko dlatego nie zostało urzeczywistnione, że mieszkańcy jednej okolicy oparli się temu „przeciw naturze“ postępkowi, przeczącemu tradycyom ojcowskim. Rada kastylijska udzieliła podobną odpowiedź za Karola II towarzystwu holenderskiemu, proponującemu przeprowadzenie kanału pomiędzy dwiema rzekami. „Gdyby uspławnienie tych wód leżało w zamiarach Boga, sam to uczyniłby, a zatem próby w tym kierunku są grzeszne, bo idą wbrew wyrokom Opatrzności.“ Z tego samego źródła pochodzą istniejące u różnych ludów zakazy co do spożywania jednoczesnego dwóch potraw, zasiewania pola dwoma gatunkami zboża itd. — są to wszystko przedmioty, które w przyrodzie spotykają się odosobnione, i przeto ich połączenie uważa się za świętokradztwo.

Wszelkie też próby zdarcia tajemnicy z sił przyrody napotykały systematyczne przeszkody i, cokolwiek wybiegało po za codzienność, ściągało na się uwagę, jako czynność podejrzana. Średnie wieki paliły na stosie ludzi, którzy mieli cierpliwość nauczenia jakiegoś zwierzęcia wyjątkowego postępowania. W 1466 spalono świnię, umiejącą obracać wrzeciono, wraz z nauczycielem. Jeden autor z 1260 r. powiada o igle magnesowej: „Żaden kapitan nie powinien używać tego istrumentu, jeżeli nie chce zostać posądzony o czary; nie znajdziesz majtka, który udałby się na morze pod przewodnictwem kapitana, używającego takich środków dyabelskich.“ Zresztą, po co daleko szukać! Do ostatnich czasów powiadano ludności państwa kościelnego, iż koleje są dziełem szatana. Znane są zresztą rozruchy w gub. permskiej około 1840 z powodu rozporządzeń, nakazujących uprawę kartofli. Klęski, które zdarzały się jednocześnie z użyciem jakiegoś nowego przedmiotu przyrody, zawsze przypisywano gniewowi niebios. Herbenstein powiada o litwinach, iż uprawiali ziemię drewnianymi pługami, jakkolwiek ciężko było w ten sposób uporać się z rolą — gdy szli na robotę, brali kilka pługów, ażeby, w razie złamania jednego, mieć inny pod ręką. Jakiś wojewoda rozesłał pługi, okute żelazem. Nastały przypadkowo lata nieurodzajne, i ludność przypisała to nowym narzędziom; wojewoda, obawiając się poważniejszych rozruchów, zmuszony był odebrać rozdane pługi i pozwolić uprawiać po dawnemu ziemię.

Podobne poglądy, przeprowadzone konsekwentnie, przywiodłyby do zupełnego wyrzeczenia się użytkowania z przedmiotów i sił przyrody. Człowiek znalazł wyjście — w kornem błaganiu o przebaczenie za swój „świętokradzki“ postępek. „Talani birmańscy, zanim zetną drzewo, zwracają się z modlitwą do ducha, w niem mieszkającego.“ Pewien lud kambodżyjski „błaga o przebaczenie zabite zwierzę.“ Mandingowie z człowiekiem, któremu udało się zabić lwa, obchodzą się, jako ze zbrodniarzem, aż do chwili, póki go starszyzna wioskowa nie uniewinni: wtedy dopiero obsypują pochwałami i wysławiają jego czyn bohaterski. Tylor zebrał masę materyału, charakteryzującego zachowanie się przy wznoszeniu budowli. Tak, dyacy z Borneo, gdy przystępują do większego budynku, kopią dół ogromny dla pomieszczenia pierwszego słupa; słup zawieszają nad dołem na sznurach, w jamie zaś zostawiają młode dziewczę i przecinają sznury — spadający ciężar gniecie dziewczynę. Jest to ofiara w celu przebłagania bogów, których obraża się przez wtargnięcie w ich dziedzinę.

Socyologia wykazuje, iż wszędzie i zawsze wyznawano, że postępki, zdejmujące tajemniczość z przyrody i zmierzające ku polepszeniu bytu ludzkiego, bluźnią wcielonej w postaci bogów przyrodzie i urągają naturalnemu porządkowi rzeczy; miały też one zawsze do czynienia z przesądami religijnymi. A jakkolwiek bezustanne rozszerzanie władzy nad przyrodą było koniecznością, czyniono to z obawą i dopiero, gdy dokonano mnóstwa prób w danym rodzaju i ujrzano całą bezkarność tego świętokradztwa, włączono nową dziedzinę do zwykłych, niezabronionych przez boga pól działalności. Kapłaństwo umiało wszakże znaleźć środek pogodzenia każdego już dokonanego zamachu z utrzymaniem trwogi przed bogami, głosząc odkrycia za łaskę ich szczególną. Był to straszny oręż przeciwko zachciankom, niepodszywającym się pod szatę woli nadziemskiej. W ten sposób, religie łączą się nierozerwalnie z rozciągłością panowania nad przyrodą; powstawszy w następstwie niedołężności człowieczej, stają one na drodze wzrostowi wydajności, gdyż, otaczając swą opieką bierność ludzką a pię-

*) Według dzieła M. Kuliszera: *Oczerki srawnitielnoj etnografii i kultury*. 1887.

tnując, jako bluźnierstwo, walkę zaczepną z przyrodą, powstrzymywały rozwój nauki, sztuki *) i techniki. Przejście od jednego trybu życia do drugiego, rozszerzenie sfery użytkowania z przedmiotów i sił naturalnych postępuje zwolna. Ale, gdy raz już nastąpiło jakieś znaczne rozszerzenie, tworzy się natychmiast nowa dziedzina użytkowania materyalnego, powstaje nowy orszak bogów, rugujący dawnych lub częściowo zmieniający stare kulty. Każdemu trybowi życia odpowiada w ten sposób nowy pogląd religijny. Łowiectwo, pasterstwo, rolnictwo itd. posiadają właściwe sobie pojęcia religijne, i tylko wtedy nauka może je należycie uporządkować, gdy oprze klasyfikacyę na sposobach produkcyi i wielkości panowania nad przyrodą.

Lud. Krz.

JĘZYKOZNAWSTWO.

Prace filologiczne, wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Tom II. zeszyt I. str. 352. 1887 r.

Podniósłszy już niejednokrotnie wartość niniejszego wydawnictwa, uważamy za zbyteczne zwracać uwagę ogółu na ważność i potrzebę studyów lingwistycznych, które przez szkołę nowogramatyków stały się częścią filologii, nauki stworzonej ongi przez Wolfa, a dziś wielce rozwiniętej.

Istota tak zwanego słowa, zagmatwana niegdyś teoryami subjektywności szkoły Beckerowskiej, stała się szczególnym dzisiaj przedmiotem badań na podstawie dźwiękowej i wynikającego stąd przycisku, który przez zmianę miejsca w zgłosce wytwarza nowe organizmy, mające być podstawą do wytwarzania klasyfikacyi słów.

P. Kalina (Przyczynek do historyi konjugacyi słowiańskiej) istniejący dotąd podział konjugacyj na spójkowe i bezspójkowe zastępuje nowym na pierwiastkowe i tematowe.

Pp. A. A. Kryński i Polivka Jerzy rozprawiają o resztkach *cz* przeszłego chwilowego (aorystu) w polszczyźnie i przyszłego niezłożonego w starosłowiańskim.

Zgasły przedwcześnie J. Hanusz obdarzył ten zeszyt dokończeniem „Szkicu gramatycznego.“ Żałujemy, że śmierć nie dozwoliła mu wypełnić wynikami studyów swoich planu, który rokował wspaniałą budowę gmachu, świadczącego, że mamy kapłanów, poświęcających się dla sprawy nauki, dziś z wielu względów dla chciwego wrażeń tłumu — obojętnej.

P. Łoś, wbrew p. Semenowiczowi (Ueber die vermeintliche Quantität der Vocale im Altpolnischen) dowodzi, że samogłoski długie żyły aż do XIV st.; w XIII bowiem w. poczęły przechodzić w pochylone.

Czynny zawsze p. Karłowicz J. przysłużył się nam słowniczkiem roślinnym (w. XV, XVI). Znajdujemy tam wiele ciekawych zjawisk dźwiękowych i formalnych (czyrwothoczyna, rumyen smyerzdraci, zyemna zoltz, marząna itp,).

P. Leciojewski, przebywając w Dubrowniku, odkrył stary słowniczek łacińsko-ruski i chorwacki Vranczica, tudzież nieznany dotąd rękopis głagolicki.

W opisanym przez p. L. Malinowskiego pomniku językowym (zabytki jęz. polsk. w rękop. nr 2503 bibl. uniwersyt.), dźwięki nosowe (*ą*, *ę*) i dźwięki szumne (*sz*, *ż*, *cz*) wyrażają się w sposób różnolity. Jest tam oprócz tego wiele innych osobliwości fonetycznych, których dla braku miejsca nie przywodzimy.

Tenże autor w „Studyach nad etymologią ludową“ przynosi nam ciekawe zjawisko przeistoczeń wyrazowych, dokonywanych przez lud, który usłyszawszy nieznany sobie wyraz, stara się przez upodobnienie do form znanych, przyswoić w nowej szacie czy to nazwisko, czy też jakiekolwiek imię lub słowo.

Grecko-łac. coemetarium, pod wpływem wyrazu „smętek, smętny“ przeszło na „smętarz“ zam. „cmentarz.“ Ze staro-górnoniem. *frithof*, *friedhof* (cmentarz) powstało czesk. *hrzbitow* i ludowe *brzitow*, niby na wzór słów: *hrzebati*, *pohrzben*. Z niemieck. *mistbete* na zasadzie analogii z łac. *inspectus*, powstały „inspekta.“

Zdawałoby się, że *obszar* jest wyrazem czysto-polskim, a jednak przyswojonym nam został z niem. *überschaar* i w dokumentach dawnego prawa niemieckiego oznaczał z początku grunta dworskie, szlacheckie, następnie przestrzeń. Obszar od mniemanego starosł. *szarz* (barwa) jest błędnym. Podobnież rzecz się ma co do wyrazu *bosak* zam. niem. *bootshacken*. Wóz dwukołowy *bida* nie pochodzi od biedy, lecz przyswojonym został z łac. biga (bijuga, wóz parokonny).

Sylwetka nie ma nie spólnego z łac. silva, lecz pochodzi z francuskiego *silhouette* i oznacza gatunek rysunku, tak nazwany od Stefana Silhouette. kontrolera finansów za Ludwika XV we Francyi.

W dziale sprawozdań i rozbiorów zasługuje na uwagę specyalisty referat zgasłego Hanusza z najnowszego dzieła K. Brugmanna p. t. *Grundriss der vergleichenden Grammatik der indo-germ. Sprachen.*

Z objaśnienia p. Karłowicza, umieszczonego na ostatniej stronicy, okazuje się, że wyrażenie ludowe: „wypas się jak Mendok“ nie pochodzi z Litwy i nie ma nic spólnego z Mendogiem, lecz oznacza byka, a u górali barana. Wyraz ten znanym jest Lindemu.

P. Kryński do rozprawy p. Karłowicza („Imiona zbiorowe polskie typu bracia, t. I. *Prac filol.*) dołącza jeszcze formę *reformacia* (od reformat=zakonnik) i *swacia* (z pod Łukowa i Biały w gub. siedleckiej).

Justyn Feliks Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Adam Szymański. *Szkice.* Petersburg, 1887.

Wieki i tysiącolecia mają swoje piekła i czyśćce, ale narody mają czarniejsze. Dla tamtych trzeba geniuszu Danta, ażeby je zaklął w nieśmiertelne symbole i całemu światu współczesnemu i późniejszemu przekazał, potrzeba mędrców o niezmierzonym widnokręgu, którzyby wznieść się umieli na wysokość orlego lotu i stamtąd patrzyli na zbrodnie i hańbę dzieci Kaina; dla tych wystarcza poeta z sercem czułem i wrażliwem, uczestnik katuszy, jeden z potępieńców, ażeby na długo otworzyć upusty łez gorzkich i pokoleniom następnym wrazić w pamięć bóle i jęki, co się tylko raz na miliony lat zdarzają. Gdyby nad takiemi dolinami płaczu położyć napis *lasciate ogni speranza voi ch'entrate*, brzmiałby za chłodno, zbyt filozoficznie, za utarto, wyglądałby jak zapowiedź cierpień, co się zapowiedzieć bo i zgłębić nie dadzą, byłaby to karta nad brzegiem otchłani morskiej przybita ze słowami: ostrożnie tu się zamoczyć można!

P. Szymański nie użyłby też owego ponurego godła, nieschodzącego z warg wszystkim melancholistom i pesymistom, zbyt świeże i namacalne opiewa przejścia, ażeby posiłkować się przestarzałym i wyblakłym szyldem. Bo nie zmory i widma własnej wyobraźni na światło wyciąga, ale wspomnienia ludzi prawdziwych z krwi i kości, roztacza przed czytelnikiem galeryę męczenników istotnych. Można mu na słowo zaufać; widziadła w snach burzliwych wylęgłe nie straszą tak długo, nie ściskają piersi bólem tak przeciągłym.

Ale przyjrzyjmy się owym napiętnowanym postaciom, ślącym westchnienia tęskne ku ojczystemu zachodowi. Część z nich — to zbrodniarze i wyrzutki społeczeństwa, skazani na pogrzebanie żywcem wedle praw odwiecznych a nieubłaganych, praw pożycia wspólnego, które za tępy mając wzrok, ażeby sumienie przebić i głębię duszy winowajcy zbadać, muszą sądzić powierzchownie a więc niesprawiedliwie. Tak było zawsze, jest i będzie, ale nigdy dosyć nie będzie Wiktorów Hugo i Dostojewskich, ażeby ogół o tem dowodnie przekonać. Tego fatalizmu ofiarami padli dwaj z bohaterów p. Szymańskiego: *Pan Jędrzej Krawczykowski* i *Maciej Mazur*. Pierwszy, choć upodlony nieco pobytem na wygnaniu, pozostał przecież jednostką dodatnią; zalety dzielnego rzemieślnika, pracowitość, uczciwość i energia nie zatarły się w nim a jeśli z zesłańca politycznego, jak autor domyślać się każe, zszedł do rzędu pospolitych przestępców, to z winy popędliwego temperamentu. Nie mógł patrzeć obojętnie na wiarołomstwo swej kochanicy, nieledwie żony, i w przystępie gniewu zabił ją, choć nie uśmiercić, lecz jedynie ukarać pragnął. Pogoda ducha jego niezamącona rozwiała wstręt, jaki z początku w opowiadającym budził; znikły obawy i uprzedzenia, bo oczy mówiły, że on niewinny jak dziecię. Oto wielki znak zapytania, postawiony przed zasadą bezwzględnego wymiaru kary.

A oto drugi. Chłop mazowiecki, wierny i poświęcony syn kraju cierpiał wzgardę i urągania wsi przez brata, który wspólne nazwisko kalał zdradą i frymarką najdroższych skarbów obywatela. Samowolnie spełnił na nim wyrok śmierci i teraz pokutuje, osierocony nazawsze z żony i pięciorga dziatek. Pędzi tu żywot mizerny razem z chlebodawcą swym, drugim z nieprzebranej liczby niedopalonych żużli. Jakże ciekawym jest obraz dni ubiegłych tego chłopa-mamuta, co nie może pomieścić się w ciasnej izbie jakuckiej; nieśmiały on, wstydliwy i z konieczności niezgrabny. Niegdyś, w pierwotnem miejscu osiedlenia posługiwano się nim, jak lokomobilą, a teraz biedak boleje, że spadł z ciała, że go dręczy tęsknota i osamotnienie. Dawniej, w domu słonecznie płynęły mu lata, ale że chciał być sędzią ohydy, a był za porywczym, sam za plugawego poczytany został i za brzeg świata rzucony. Dlaczego jednak w nim autor aż doszukiwać się musiał czystego, nieskalanego wzroku duszy, by upewnić się, że jest drogocenna jak złoto? A gdyby nawet olbrzym ten z najdzikszem okrucieństwem pastwił się nad bratem swym, to przecież słuchał jedynie gromu oburzenia, obrażonej czci rodowej, które mu we wnętrzu huczały. Jeżeli kto, to ten właśnie nędzarz z góry słuchacza ujmuje i rozrzewnia. Dzieje jego życia przed zbrodnią dostatecznie okupiły zapomnienie się. Pośród kamieni—on należy bezwarunkowo do kruszców szlachetnych.

Maciej Mazur jest utworem daleko lepszym od poprzedniego, tamten w porównaniu z nim zimny, z filozoficznych refleksyj złożony. To — skończona sylwetka prostaka, dziwnie ujmująca, uosobienie szczerości i niczem niezbrukanych uczuć.

Dotąd przemawiał gorący przyjaciel ludzkiego rodu, spostrzegacz, co smutnie potrząsa głową na widok krzywdy wyrządzonej przez społeczeństwo, idealista, który drży, ażeby nie wykryć pod złudnymi pozorami wężowej żarłoczności i bydlęcych popędów, i cieszy się egzaltowaną rozkoszą, ilekroć obawy podobne okażą się płonnemi. Dużo tam młodzieńczego ognia i zacnej etyki. W dalszym zaś ciągu idą o wiele dojrzalsze

*) Gdy jeden sabaudczyk, zamieszkawszy w Limie, zaczął wylewać tu nieznane figurki cynkowe, ledwie nie popadł za to w szpony inkwizycyi — bo tylko przy pomocy szatana można było, zdaniem wielebnych ojców, wyrabiać takie ładne rzeczy.

analizy choroby okropnej, którą tak rzewnie wyśpiewał Syrokomla w *Janku cmentarniku*, a która zowie się tęsknotą za ojczyzną. Wybucha ona potokiem gwałtownym w *Srulu z Lubartowa*, nie połączona jeszcze z żadnem innem uczuciem, dramatyczna sama przez się, bez współdziałania innych czynników. Jest to przytem tęsknota gatunku najpośledniejszego, najbardziej naturalna, instynktowna; możnaby ją nazwać fizyczną. Biedny żyd polski nie przeczuwał chyba, że łaknienie rodzinnego słońca i zieleni, w nim równie potężne, jak i w najbardziej ucywilizowanym ziomku, choć mniej uświadomione, uczyni go kiedyś popularnym w literaturze a i obcych z nim poznajomi. W rzeczy samej szkic ten wielkie w swoim czasie, gdy się ukazał w odcinku *Kraju* zrobił wrażenie. Perełka to godna sąsiedztwa *Latarnika* Sienkiewiczowskiego w koronie nowelek polskich. Kontrast grubych rysów, ciemnoty i gminności, słowem wszystkiego, co cechuje prowincyonalnego semitę, z porywem szczytnym a gwałtownym — wytworzył akord harmonijny, jeden z tych, co na długo wrażają się w umysł. Drugi kontrast —tegoż samego nędzarza ze zmarłym Bałdygą, zgodnie się z tamtym łączy i składa na przepyszny jakiś nokturn tęsknoty, o charakterze wysoce lirycznym.

Gdzieindziej ton ów przechodzi już w tragizm i wywołuje złowrogie zgrzyty cynizmu, szarpiące rozdźwięki. Pod nielitościwymi ciosami złamał się hart *Stolarza Kowalskiego* i ustąpił miejsca chronicznemu szyderstwu z Boga i wszystkich, czczonych niegdyś świętości. Zresztą pozostał on tem, czem był, człowiekiem sumiennym i rozmiłowanym w pracy pomimo kalectwa. Jeno zamknął się w sobie, podobny do owego szalonego i pijanego z bólu wygnańca, który popłoch szerzył wśród jakutów, niby zwierz dziki, i aż do legend ich przeszedł, otoczony aureolą grozy. O Kowalskim nikt nie wiedział; znaną była jedynie zabawa z psiakiem, któremu od czasu do czasu kazał „wymyślać Panu Bogu.“ Dopiero na śmiertelnem łożu zmiękł nieco, duszę swoją przyjaciołom odsłonił i pokazał w niej rozpacz bezmierną, bezgraniczną. Wtedy pojęli racyę bluźnierstwa. Ile razy, zebrawszy siły i środki chciał uciec do matki swej, która w rodzinnej męczyła się ziemi— zawsze zła jakaś moc bruździła mu i wracał większym jeszcze męczennikiem, do odleglejszych jeszcze stref... Był jak topielec, który zanim ostatniego dał pod wodę nurka, kilkakrotnie dopływał brzegu, ale za każdym razem fala odrzucała go na środek rzeki. A że popadł w niedolę nie dla swojego dobra i grzechem żadnym się nie splamił, przeto nie mógł zrozumieć tego znęcania się nad nim losu, stracił wiarę w Opatrzność i dziecinną igraszkę ze zwierzęciem mścił się nad nią. Jeżeli szczegół ten nie jest wzięty z życia, natenczas jest pomysłem naciąganym i wprost niesmacznym; ale i w przeciwnym wypadku jako rys inteligencyi bohatera nie zaleca się szczególnie. Na szczęście punkt ciężkości spoczywa w walce przedśmiertnej, gdy konający, pod wpływem nauki ewangelicznej odgadł na nowo szlachetną stronę męczeństwa i z bezczeszczonym Bogiem jedna się. Na ową chwilę zapominamy o psie, jako prokurencie do łżenia urojonego ciemiężcy.

Stolarz Kowalski przenosi już czytelnika w samą pełnię motywu, z którego czerpie natchnienie autor. Osobistości poprzednie, to materyał dla myśliciela i psychologa. Są maluczkie i same nędzy swej tak nie ogarniają świadomością, nie odczuwają, jak my, którzy opowieści słuchamy. W Kowalskim obudził się krytycyzm, a z nim i wszystkie trawiące umysł harpie — boleść więc wzrosła o tyle, o ile wzrasta jest inteligencya. Epilog jest nawskróś swojski. Przykład rezygnacyi Chrystusa, co polskich wieszczów z dawien dawna nastraja, pokrzepił jak balsam cudowny skołatanego ducha.

Przejdźmy do największego ze szkiców, do *Przewoźnika*, a stanie przed nami postać jeszcze wyższa, człowiek z warstw oświeconych, potomek najwierniejszych synów kraju. O całą głowę przewyższa on wymieniony szereg towarzyszów klęski. W żyłach płynie krew szlachetna i do ofiar nawykła: w myśli płonie tradycya zasłużonych ojców. Buski fatalności poddał się dosyć ochoczo, nie straciwszy bynajmniej otuchy, pewny, że ludzie warci są poświęceń. Na surowej obczyźnie przekonał się jednak, że tak jest nie zawsze i nie wszędzie. Prędko prysły złudzenia o sielankowej zgodzie i dobroci powszechnej, wzrok zamiast cnót widział podłość i występki przeróżne. Pomimo to wszakże zdrowe ziarno nie zmarniałoby, choć w niewłaściwą rzucone glebę, gdyby nie przeświadczenie, przez traf dostarczone, „że szumne hasła, widocznie, powtarzaliśmy bezmyślnie, że dość było jednego wichru zimniejszego, ażeby zmrozić bujne kwiecie i okazać, żeśmy wybujali ponad siły i że drzewa nasze nawet zwykłem kwieciem, zwykłym liściem obradzać nas nie mogą.“ Konkretne wypadki wymownie potwierdzały to mniemanie. Jeden z zesłanych, starzec wiekiem złamany, doczekał się nareszcie powitania kraju, ale przyjęty lodowato i odepchnięty przez swoich, skazany na śmierć głodową, dobrowolnie wrócił na miejsce wygnania, ażeby pogrążyć się w bezdennej rozpaczy, a wnet i wódce—i licho męczeński żywot zakończyć. Potem znowu nadeszły wieści, że podobny los spotkał całą drużynę, że pod bramami Warszawy tyfus głodowy śród niej zapanował. Junak, nowinami temi, jak młotem po czaszce uderzony, wpadł w stan ogłuszenia i rozpił się. Ale taka w nim była siła wewnętrzna i taka fizyczna, że nawet alkohol równowagi ducha całkowicie nie zwichnął. Obrzydliwy nałóg nie zapanował nad organizmem, wciąż tliła się iskierka nadziei, że skargi owe na zakamieniałość serc polskich były oszczerstwem. Wystawmy sobie teraz, że z tego wszystkiego spowiada się nieszczęsny wówczas, gdy przewozi autora na łódce przez wzdętą i wzburzoną Augarę, w charakterze brudnego i opiłego wioślarza, który siłą potwornej pięści szerzy dokoła siebie przestrach, a odtworzymy sobie mniej więcej scenerye. Powieść ta jeszcze nie skończona. Ostatnim jej momentem dziki wybuch rozpaczy, będący odpowiedzią na zapewnienie pasażera, że posępne wiadomości były prawdą...

W pobieżnej tej charakterystyce bohaterów p. Szymańskiego trzymałem się porządku, niezgodnego ze spisem przedmiotów. Przyjąwszy taką hierarchię, łatwiej zrozumieć, jak dramat wygnania komplikuje się w miarę wznoszenia poziomu umysłowego i łatwiej zespolić w jeden motyw ogólny to, co w istocie z jednego źródła bierze początek. Dla uzupełnienia obrazu dodać trzeba, że ponad całą tą gehenną unosi się koloryt syberyjski, że tłem jej jest zazwyczaj ziemia skuta srogim mrozem, zlodowaciałe powietrze i wszystkie dary natury hyperborejskiej.

Autor miał przed sobą kopalnie tematów starych, ale wiecznie świeżych i ponętnych. Siłą okoliczności przerzucony do ich koła, odrazu je odczuł i, przyznajmy to, odczuł głęboko i dlatego *Szkice* robią wrażenie tak silne i trwałe. Na umyśle wrażliwym oczywiście i pełnym zapału nieznana rzeczywistość, wstrząsające epizody, zostawiły ślad głęboki, wyryły się wypukłą rzeźbą. Stąd pochodzi sympatya, jaką wzbudza cały zbiorek, niekłamana i ogólna. Są nadto pewne struny w sercach ludzkich, które nawet partacza poruszone ręką, rozbrzmiewają nutą dźwięczną i donośną, a już w arfę eolską zamieniają się, gdy na nich gra śpiewak zdolny do ekstazy. W tem szczęśliwem położeniu jest i p. Szymański; korzysta on z przywilejów, służących raz na zawsze pewnej kategoryi pisarzów i ma tę przewagę nad innymi, że nań patrzą powszechnie nie przez szkła krytyki, lecz spotęgowanego uczucia.

A przecież widziany ze stanowiska trzeźwego, badany w swym artyzmie — nie okaże się zgoła idealnym — właśnie dlatego, że tam strona sentymentalna —górą. Objektywizm powieściowy raz po raz kryje się po za osobistością autora; deklamacya i treny wrywają się nieproszone w tok opowiadania i odejmują mu cechę dzieła sztuki, obrazka lub grupy, na jakie się zanosiło. Gdy słyszymy, jak do Srula z Lubartowa, słabo rozumiejącego mowę polską, przemawiają patosem i wyszukanym stylem, gwałtem ciśnie się do głowy myśl o niemieckiem kazaniu i wprost nie pojmujemy, jak mógł na nie odpowiedzieć. Dziwnem jest, że przewoźnik snuje swą spowiedź językiem Jeremiasza albo ewangelisty. Skąd się na łódce tak prędko wzięła maniera Pisma świętego? Zapytać gotów ktoś złośliwy: jak‹ejże szerokości jest Angara, skoro po za walką z wściekłemi falami zostało czasu na dwadzieścia parę stronic opowiadania? Klucz bardzo zwyczajny. Autor ulega nawale uczucia i zapomina o warunkach fizycznego prawdopodobieństwa, poddaje się żalom proroczym i przeocza, jak mówią ze sobą pospolici śmiertelni. Wolno pisarzowi tworzyć sobie nowe formy, nie hołdować ani noweli, ani dyalogowi, ale podkładanie pod przedmiotowość swego „ja,“ nieco szczudłowatego, razi boleśnie zmysł poezyi. Wogóle p. Szymański ma za wiele siły rozpędowej — i widocznie sam z nią rady sobie dać nie może. Gore w nim widocznie duży płomień, który należałoby często przytłumiać. Płomień ten wydobywa się na wierzch językiem w wielu miejscach pięknym, silnym, potoczystym, przejmującym — ale źle zastosowanym. Dla fantazyi monologowej byłby to żywioł nieoszacowany. Pomijam liczne uchybienia przeciw niezbędnej, nie Arysto'lesowej, ale elementarnej jedności, mnóstwo odskoków w bok, co razem wzięte zanadto przypomina dziennik, ze szkodą dla estetycznego wykończenia, a co wątpię, by leżało w zamiarach autora. Gdy chodzi o opisy przyrody północnej i jej cudów straszliwych, słowem, o oddanie kolorytu miejscowego — pióro p. Szymańskiego ma prawo swobody i tam też jest jak u siebie w domu.

Choć prozą pisane, *Szkice* należą raczej do liryki poetyckiej, mają jej zalety i wady, a głównie egzaltacyę. Są to znamiona, które na pewno wywróżyć można drugiemu tomowi. Niechaj jaknajprędzej się zjawi. Ale — rzecz wielce ciekawa, jak obracałby się p. Szymański w sferze innej, mniej podmiotowej i elektryzującej...

N. Hirszband.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Obojętny cel śmierci. — Męczennicy idei. — Pożałowania godny ich widok.—Zwierzyniec Boga. — Aforyzm *Kur. warsz.* — Filemon Zalewski czyli bohater naszych czasów. — Wielcy małymi. — Ponowne błaganie komisyi kolonizacyjnej. — Statystyka policzków. — Szczególna pretensya wyborczego motłochu. — Słuszna odprawa. — Wstrętne l‹arstwo. — Zapomniane państewko. — Wstrzymany ‹andydat do tronu. — Przywilej niemiecki. — Kwestye według gustu.

„W gruncie rzeczy — powiada Heine — wszystko jedno, za co umieramy abyśmy tylko umarli za cóś kochanego.“

Treszczą żebra, z gniecionych piersi dobywają się rozpaczliwe lub błagające wołania, od czasu do czasu ktoś pada w omdleniu lub przedziera się pół-żyw przez tłum, ur‹osząc czerwoną kartkę — owoc cierpień

i walk, nagrodę zwycięztwa. Zbita masa istot umrzeć gotowych zazdrosnie spogląda na ów łup i z tem większym naporem stłacza się, dziko pokrzykuje i jak bałwan morski uderza w maleńkie okienko, za którem szczęście ku niej błyska.

Zdobył je drugi, wrzasnął na duszących go, przecisnął się z trudem na swobodne miejsce, odsapnął, spojrzał z dumnym uśmiechem na czarowną kartkę i jak gdyby obawiając się napaści lub pogoni — uciekł.

Wkrótce ciżba wystrzeliła trzeciego, czwartego i innych śród złorzeczeń i wycia.

Każdemu pot zmoczył włosy, blada twarz nosi ślady zupełnego wyczerpania, odzież zmięta i poszarpana, cała postać wyraża przebyte mozoły i cierpienia. Znać, że ludzie ci byli w ciężkim i niebezpiecznym boju, że może tylko cudem uniknęli śmierci, ale znać również, że nie lękali się jej, bo walczyli za najwyższe szczęście, za wielką ideę, za... bilety na występ Mierzwińskiego. Mamy ogień, mamy zapał, mamy odwagę, nie żałujemy swego życia tam, gdzie niem doniosłą sprawę okupić można — prawda? „O Boże, Boże — mówi tenże poeta — jakże wielkim jest twój zwierzyniec.“

Nie powinniśmy jednak poddawać się zbyt przesadnemu zachwytowi nad wspaniałym widokiem i mniemać, że ten zapał wybuchnąłby daleko silniejszym płomieniem przz innej, ważniejszej sposobności. Ludzie, jak zapałki szwedzkie, zapalają się tylko o pewne pudełka. Jedni goreją dla wiedzy, sztuki ludzkości, narodów, osób ukochanych, inni — dla biletu, który im pozwala zobaczyć ładną aktorkę lub usłyszeć *c* z gardła śpiewaka. A uczucia te nie są zamienne. Nie chciałbym waśnić kochanków, podawać w wątpliwość rozmaitych przywiązań, ale trudno mi uwierzyć w jakąkolwiek głęboką miłość człowieka, który zdecydował się umrzeć a nawet ponieść kalectwo pod kasą teatralną za *cis* śpiewacze. Gdybym był jego narzeczoną, odesłałbym mu pierścionek, gdyby był muzą...

Ale bądźmy sprawiedliwi i pamiętajmy, że to są „błogosławieni, którzy obsiądą ziemię.“ Jeśli naród żyje ogniem wewnętrznym, to przecież naszemu nie dadzą tej siły ani filozofowie, uczeni, artyści, ani natchnieni potężną miłością, słowem, ludzie, którzy ścigają ideały i szukają nadzwyczajnych pobudzeń, ale tacy, którzy ogrzewają swe serca byle słomą, byle wiórem, zwłaszcza że ci rozradzają się u nas szalenie, a tamci umierają przed czasem i schodzą ze świata bezpotomnie. Gdyby nami nie wstrząsało tenorowe *c*, to nie wstrząsałoby nic, bo innych bodźców nie ma lub nie działają. Nauka, nowe jej zdobycze, prądy społeczne, gwałtowne wzloty myśli i uczuć — opowiadają starsi a nawet sami pamiętamy, że kiedyś to wszystko nas czarowało; dziś... nie wiecie przypadkiem, czy Mierzwiński będzie jeszcze śpiewał, czy Coquelin przyjedzie, wogóle co tam słychać w teatrze?

Śmiejcie się, moi czytelnicy, lub wzdychajcie, to mnie nie obchodzi: ja tylko jestem piewcą swego czasu — jak przykazał Brandes.

Duszę tego czasu streszcza w sobie pyszny aforyzm *Kusyera warsz.*: „Nikt tak nie podnieca ciekawości publiki, jak znakomici artyści i znakomici przestępcy.“ Codziennie w Warszawie kradną rzezimieszki za ileś tam setek rubli, ale również codziennie śpiewa w niej kilkaset ludzi i nikt na to uwagi nie zwraca. Co innego Filemon Zalewski w Wiedniu, który przywłaszczył sobie 150,000 guldenów. To wysokie *c* w złodziejstwie. Gdyby ukradł 100, 200, 300, wiedziałyby o nim tylko raporty policyjne. Ale 150,000, a przytem zwiedziona kochanka, ucieczka do Ameryki— naiwny Tainie, Helmoholtzu, Tyndalu i wy sądzicie, że świat wami się zajmuje? O was cicho, a sława Filemona Zalewskiego brzmi w dziennikach Europy i Ameryki, rozlatuje się na wszystkie strony po drutach telegraficznych, nad rozpowszechnieniem jej pracują literaci, stenografowie, zecerzy, maszyny drukarskie, tłum zaś, niewpuszczony do sali z powodu braku miejsca, „przypatrywał się chociaż tym murom, gdzie złodziej siedział.“ Co trzeba zrobić dobrego dla ludzkości, ażeby jej uwagę tak pochłonąć? W sferze czynów uczciwych, w dziedzinie wiedzy i sztuki, nie ma dzieła, któreby swym rozgłosem wyrównało znacznej kradzieży lub morderstwu. Chyba jakaś nuta śpiewacza lub sztuczka aktorska. Zresztą wszystko i wszyscy nikną przy złodzieju i zabójcy. Zdumiony lub gniewny pytasz: warto na takim świecie rodzić się, pracować, być cnotliwym, uczonym, genialnym? Warto. Ludzkością dla mędrca są jej kwiaty. Konie, krowy i owce pasą się u podnóża lub na niższych pochyłościach góry, skubią tam rosnącą dla nich trawę; artysta, podróżnik, uczony wchodzi na jej szczyt podniebny. Nigdzie zaś nie ma samych szczytów zawieszonych w powietrzu.

Chociaż *Kuryer codzienny* donosi, że p. Julian Czarliński sprzedał swoje dobra Stary Bukowiec komisyi kolonizacyjnej za 320,000 m., chociaż więc zacny handel nie ustaje, błaga ona ponownie patryotów poznańskich z „własności większej,“ ażeby ulitowali się nad jej kieszenią i nie stręczyli swych majątków, gdyż dla nakarmienia tego patryotyzmu nawet 100 milionów marek nie wystarczy. Według depeszy *Kuryera warszawskiego* „oświadczyła komisya kilku polskim właścicielom dóbr z Poznańskiego, że dalej już przedstawianych sobie w *takiej mnogości* ofert kupna ziemi przyjmować nie może.“ Który to z rzędu policzek dla Judaszów? Tyle było uderzeń, że liczby ich nie pamiętamy. Przypuszczamy jednak, że skoro bywają dziwacy, zbierający: marki, pudełka od papierosów, afisze itd.. znajdują się niezawodnie inni, którzy rachują: ilu zacnych obywateli poznańskich z „dobrowolnego przymusu“ sprzedało ziemię polską niemcom i ile razy komisya kolonizacyjna, odpędzając cisnącą się do niej czeredę, zawołała: dosyć mam już, dosyć, czekajcie, Monaco nie ucieknie. Statystyki tej zaniedbać nie powinniśmy; jej cyfry przydadzą nam się bardzo, gdy znowu będzie mowa o „czole narodu,“ o ofiarach „klasy przodującej“ i tym podobnych pewnikach społecznych, które dziś nieco przycichły, ale kiedyś się odezwą. Wiadomo zaś, że są to papiery oparte w swej wartości na niepamięci.

Stu kilkudziesięciu wyborców pewnego okręgu galicyjskiego wystąpiło do swego posła z dziką pretensyą: oto ni mniej ni więcej tylko zażądali od niego, ażeby im się pokazał. W liście publicznym tłomaczą mu, że jako ich przedstawiciel powinienby swoich mocodawców czasem odwiedzić, zobaczyć, wysłuchać. Kiedyś w korespondencyi z Poznańskiego podniesiono u nas tę samą kwestyę i przytoczono słowa jednego z tamtejszych deputatów, który podobne roszczenie odparł bardzo słuszną uwagą, że już i tak chłopi zadzierają nosa do góry, a cóżby dopiero robili, gdyby panowie zaczęli im się tłomaczyć z działalności poselskiej. W swoim czasie uczciłem tę wysoce mądrą i polityczną zasadę; dziś więc potrzebuję tylko skarcić chamów galicyjskich za zuchwałość i odesłać ich do poznańskiej nauczki. Dalibóg świat przewraca się do góry nogami: marna czerń, której kaprys losu nadał prawa obywatelskie, nie zadawala się tem, że ma zaszczyt głosować na panów, ale jeszcze wymaga od nich przybycia osobistego, sprawozdań. Jak gdyby ten motloch mógł zrozumieć wyższe racye, kierujące postępowaniem galicyjskich mężów stanu, jak gdyby zdolnym był pojąć, czemu oni podtrzymują stempel od dzienników, czemu pomagają ministrowi oświaty w zamykaniu szkół, czemu patrzą z uśmiechem na ojczymowskie traktowanie przez rząd najpotulniejszej córy! Niech sobie deputaci niemieccy, francuzcy, angielscy, włoscy jeżdżą do swych wyborców, niech się pospolitują w rozmowach z nimi, ale tego nie może robić galicyanin, ani poznańczyk. O nasze indygenaty dawniej książęta starali się daremnie. Teraz wprawdzie cena ich nieco spadła, ale duma krwi czystej pozostała i prędzej czy później przywileje swoje odzyska.

Czy nie uważasz czytelniku, jaki ten nasz demokratyzm, miłość ludu, chęć zbratania się z nim, jakie to wszystko jest operetowe? Śpiewamy stosowne kuplety, robimy stosowne miny, wymawiamy stosowne słowa, ale widzisz, że to swawolna lub przymusowa gra, że z niej ciągle wyłazi odmienna rzeczywistość, że w głębi duszy nie wierzymy w prawdziwość ról naszych. Ową ludomanię pijemy jak gorzkie lekarstwo, spluwając i wykrzykując co chwila: skoro lekarze zalecają, zażyję, ale niech dyabli wezmą jakie wstrętne! Dziwimy się, że ono nie pomaga? Bardzo naturalnie: odraza zobojętnia jego skuteczność. Czy my kiedykolwiek istotnie połączymy się z ludem — nie wiem, ale to wiem, że obłudą, pół-uczuciami, pokonywanym wstrętem nie dokonamy niczego i że nie prędzej nasz demokratyzm w tym kierunku wyda owoce, aż zacznie być szczerym.

Rozprawiając szeroko z niemcami o dziedzictwie tronów bawarskich, luksemburskich, holenderskich, całkiem zapomnieliśmy, że w zachodnich prowincyach cesarstwa jest państewko większe od Belgii, którego dziedzic zejdzie bezpotomnie ze świata i pozostawi kwestyę następstwa. Po śmierci ks. Wittgensteina został majątek obejmujący 400 mil kwadratowych, przypadający prawnie jego siostrze, żonie namiestnika Alzacyi i Lotaryngii, ks. Hohenlohe. Na tron w Werkach wstąpiłaby linia niemiecka; ale ponieważ ostatni ukaz poleca cudzoziemcom wyprzedać majątki odziedziczone w ciągu lat trzech, przeto — jak donoszą gazety rosyjskie — książę Hohenlohe porzucił nawet tak ważną sprawę, jak badanie młodziutkiego Schnaeble'a w przedmiocie plakatu głoszącego zgubę niemcom, i pospieszył do Petersburga dla wyjednania osobistym wpływem wyłączenia go z pod ukazu. Prasa rosyjska wszystkich odcieni głosuje przeciwko ustępstwu i — zdaje się — wywróży prusakowi porażkę. Zaznacza ona przytem słusznie bezczelność niemiecką, lekceważącą cudze prawa, a przedewszystkiem ustawy Rosyi. Coby ten sam ks. Hohenlohe powiedział, gdyby do niego przybył z podobnem żądaniem francuz! Rzeczywiście niemcy posiadają przywileje: oni, którzy u siebie z nieludzką surowością wykonywają najostrzejszy przepis, oni, którzy wyciągali z łóżek i wyganiali położnice, kaleki, starców, oni, którzy do żebrzącego kija przyprowadzili swym edyktem tysiące ludzi, oni mają odwagę zwracać się do innego rządu i prosić o złamanie dla nich prawa. Na to doprawdy trzeba być niemcem. Dodać winniśmy, że niektóre gazety pruskie uśmiechają się z przypuszczenia bezskuteczności starań ks. Hohenlohe, przebąkując, że „*tam* tylko muchy więzną w pajęczynie, a bąki przez nią się przebijają.“ Ciekawość na niedługą zapowne wystawiona będzie próbę, ale że państewko Wittgenstein-Hohenlohe, czyli 400 mil kwadratowych ją mocno rozbudza, że waży się kwestya niemała, że ona posiada większe znaczenie niż tenorowe *cis*, albo reforma kasy zamówień, otwierającej się dla uwiadomienia męczenników z połamanemi żebrami i nogami, że biletów już niema — to wątpliwości nie ulega.

A może nie? Nikomu nie przeszkadzam i nie wtrącę się do rozprawy: czy daremnie polegli i ranni pod okienkiem kasy mają prawo do wawrzynów i publicznego współczucia, czy też nie?

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Cywilizacyjna rola synagogi w Łodzi. — Dola tkaczów bełchatowskich. — Sosnowiec, czem jest i co go czeka. — Sandomierzanki muszą zaniechać czystości. — Zbrodnictwo nasze. — Postępy pijaństwa. — Czem są nauczyciele wiejscy, a czem mogliby być.

Wyznawcy Mojżesza święcili niedawno uroczystość otwarcia synagogi nowej w Łodzi. Ma to być tak okazały budynek, że pozorem swoim potrafi natchnąć innowierców należnym szacunkiem dla mozaizmu. Zdziwiła mię niepomału wielosłowność sprawozdawcza o tym fakcie *Dziennika łódzkiego*. Lecz niebawem upór mój i złośliwość, napływające do serca, pokonane zostały: dowiedziałem się, że „poświęcona wczoraj świątynia izraelska przy ulicy Spacerowej jest nadto faktem ogólnej doniosłości społecznej.“ Po raz wtóry oczy moje miały się rozewrzeć naścieżaj, gdy wtem słuch mój uderzyły takie słowa: „Mamy bowiem nadzieję, że z kazalnicy nowej świątyni dadzą się słyszeć mowy, które nietylko izraelitów, ale i *innowierców* objaśnią o znaczeniu obrządków, że one wykorzenią mnóstwo uprzedzeń, a przez to może i obudzą sympatyę dla współobywateli naszych, odmiennych wyznaniem, lecz równych nam w poczuciu człowieczeństwa.“ Słowa te zaprawdę dobrze świadczą o sercu autora, ale są zarazem nadmiarem wymagań. Nie jest rzadkością w ustach chrześciańskiej ludności nazwa „szkoły“ dla świątyni starozakonnych: może ta okoliczność właśnie obudziła szlachetne nadzieje. Wątpię jednak mocno, czy by pomimo korzyści z sympatyi chrześciańskiej, synagoga mogła i chciała wziąć na się rolę uczelni, w której by popularnie wykładano zasady mozaizmu.

Daleko więcej potrzebuje współczucia nasz drobny przemysł. Słyszę wyraźnie, jak chrzęszczą kości jego wynędzniałych atlasów, po których się toczą koła rydwanu produkcyi kapitalistycznej. Że nie złudzenie to teoretycznych wzlotów, świadczę się korespondencyą *Wieku*. Osada Bełchatów trudni się tkactwem. Prawie w każdym domu mamy po kilka krosien ręcznych — słowa korespondenta — na których wyrabiane są płócienka, flanele, poślednie sukna itp. przedmioty. Warsztat cały dzień, a często większość nocy klekocze bez przerwy, wiele rodzin zawdzięcza im, że nie umiera z głodu, ale nadto nic więcej. Dawniej, gdy był ruch większy, i nasze tkactwo lepiej płaciło...“ Tak się skarżą tkacze. Robią dużo, ale bezowocnie. Czemu? Bo ich ogarnia siatka promienista, w której środku siadł wielki pająk — Łódź. Zwykły — sam zbiera zdobycz uwięzłą w pajęczynie, ale fabryczny ma pachołków swych — faktorów. „Oni tylko zostają w bezpośrednim stosunku z fabrykantami: biorą od nich przędzę na swój rachunek i następnie nam (tkaczom) ją oddają do wyrobu, płacąc od niego, ile się im podoba. Dość powiedzieć, że pierwszy lepszy robotnik zarobi więcej, niż tkacz, który musi mieć swoje krosna i przyrządy tkackie.“ Nietylko tkacze w Bełchatowie cierpią, „na tym samym wózku jeżdżą“ i w Bełchatówce, Edwardowie, Grocholicach, Kurnosie itd. Sądzę, że odnalazłyby się podobne ofiary wyzysku i w innych promieniach „polskiego Manchesteru.“

Pająk pająkiem, ale los Łodzi doprawdy zatrważa mię. P. Zarjanko, a raczej *Swiet* artykułem opartym na jego broszurze natchnęli mię tem uczuciem. „Sosnowice nie różnią się niczem od każdego miasta fabrycznego w Niemczech. Wszędzie słychać mowę niemiecką. Fabrykanci, dyrektorowie, bankierzy, agenci o „powierzchowności dyplomatycznej (może szpiegi wojenne?), robotnicy fabryczni w pruskich czapkach wojskowych z czerwoną wypustką i takąż gwiazdką (niższe stopnie landwery!) — oto ludność Sosnowca. Są to rdzenni niemcy, dobijający się o poddaństwo rosyjskie głównie dla swych interesów. Jeden z takich „rosyan“ mówił do p. Zarjanki: „Gratulieren Sie mir, mein lieber Herr, ich bin schon ein Russe.“ Stopień udziału w przemyśle sosnowickim cudzoziemców i „rosyan“ staje się widocznym z cyfr następujących: rosyanie (?) mają 8 zakładów przemysłowych z 824,300 rs. produkcyi i 200 robotnikami; cudzoziemcy — 28 fabryk z 11,257,967 rs. i 4,851 robotnikami. Jeżeli wyłączyć z ogólnej liczby „rosyan“ Kernbauma (620,000 rs.), to na poddanych rosyjskich przypadnie 1,7% całkowitej produkcyi.“ Wobec tego nie dziw, że Sosnowiec „współzawodniczy nietylko z Rosyą środkową, lecz zagraża przemysłowi czysto-polskiemu, walcząc z Warszawą i Łodzią.“ Biedna Łódź! rzekłbyś, zaklęta okiem bazyliszkowem Sosnowca w koło czarodziejskie 38 milionów produkcyi rocznej, waha się, czy przekroczyć je, czy też nie. A Sosnowiec marzy o przedzierzgnięciu się z osady w miasto, ofiarując w tym celu na piarwszy początek 35,000 rs. Nic z tego. W świetle badań p. Zarjanki jest to nie środowisko przemysłowe tylko, lecz przedewszystkiem — forteca pruska, której ludność fabryczna stanowi załogę, bo się składa z „szeregowców i oficerów landwery zapasowej.“ Nadto „gęste lasy z obu stron rzeki Brynicy, kopalnie pograniczne z korytarzami i galeryami podziemnemi na długość wiorst kilku, most żelazny pod kolej, należący do Prus — są to wszystko szanse dla nieprzyjaciół w razie przejścia przez granicę państwa. Miejscowość górzysta, położona na północo-wschód i północo-zachód od Sosnowca, przedstawia dwie wyborne pozycye, a pruskie młyny parowe i piekarnie w Sosnowcu są w stanie bez wytężenia dostarczyć żywności znacznemu oddziałowi siły nieprzyjacielskiej.“ Narody obecnie są względem siebie tak drapieżnie nastrojone, że gdyby nie istniały inne węzły, radziłbym im, dla uniknięcia nieprzyjemności graniczenia, oddzielić się murem chińskim lub odgrzebać starosłowiański zwyczaj ogradzania się „zasiekami.“

Czystość ciała jest niezaprzeczoną cnotą, ale Sandomierzowi nie dano uprawiać jej. Tam albo inżenierowie odpychają Wisłę od miasta o wiorstę precz, albo kwitnie monopol łazienkowy. Mężczyźni umieją sobie radzić. kąpią się pod gołem niebem, ale biedne kobiety, których nerwy rozstrojone niespełnionemi pragnieniami bardziej potrzebują ochłody — co poczną? Gdy raz, obudziwszy w sobie odwagę, zanurzyły swoje ciałka w szarych toniach Wisły i myślały, że tylko jedno niebo ogląda ich wdzięki, aliści wyrósł skądś strażnik pograniczny i „nie przebierając w słowach,“ jął je wyganiać z wody, twierdząc, że po zachodzie słońca nie wolno się w Wiśle kąpać. Wyobrażam sobie popłoch i lament niewieści, ale pojąć nie mogę, kto taką wszechwładzą opatrzył pp. strażników? Wiem, że z powodu jesieni nie znajdą się lubowniczki kąpieli rzecznej, ale czy i na przyszły rok nie spotka ich to samo?

Skutkiem tęsknego wytężania oczu w stronę dodatnich szczegółów naszego życia, pomijać musiałem niektóre kategorye ujemnych. Ale teraz wracam do stosunków obyczajności ludowej. Złodziejstwo w Mińsku litewskim, według słów p. Aleksandra Jelskiego, doszło „do apogeum bezczelności.“ Nawet dzień biały nie jest od tej zbrodni wolny. Wobec wykrytego wspólnictwa sług w bandach złodziejskich, w własnym domu niema bezpieczeństwa. W Mińsku przytrzymano na gorącym uczynku dwóch znanych złodziejów końskich: Frumera i Bergera: w powiecie zaś ihumeńskim dostał się do więzienia „sławny złodziej“ Korolik, żyd z miasteczka Puchowicz. Był on plagą okolicy, odgraża się zaś zemstą „po odsiedzeniu kary lub zemknięciu.“ Teraz znów litania mordów i kradzieży odmawiana przez *Gaz. radomską*. W Machorach zamordowano stangreta i skradziono parę koni, w Belnie ograbiono dwór, w Sielpi okradziono młynarza z gwałtem, w Żarnowcu okradziono trzech żydów, przyczem przecięto głowę sztabą żelazną żydówce, oporządzono kasę fabryczną w Rudzie Malenieckiej itd. itd. A wszystko to działo się skutkiem wypuszczenia na wolność „mistrzów zbrodni“ (lubimy takie zestawienia), karanych kilkakrotnie i znanych całej okolicy: Mijasów, Juszczyków, Mazurów i sp. Albo w okolicach Łodzi. Zamożnemu, prawemu i gospodarnemu włościaninowi z Nowego Brusa, Promińskiemu, groził zemstą syn szynkarza z Sikawy za odmówienie mu najstarszej córki w zamęźcie i wydanie jej za kowala w Starym Brusie. Jakoż gdy wracał z synem od zamężnej córki swojej, został napadnięty przez niefortunnego zalotnika przy udziale towarzyszów. Obu pokaleczono nożami w głowy. Temu samemu Promińskiemu groził przed kilku laty jeden z sąsiadów zemstą za odmówienie pożyczki. W kilka tygodni potem zgorzały budynki Promińskiego od podłożonego ognia. Bywa, że sąsiad pijak i niedbalec zapowiada „porządnemu“ gospodarzowi jakąś szkodę przez zemstę. W rok, dwa lub trzy lata dotrzymuje obietnicy. Miłe okazy, wymowne szczegóły! Niewątpliwie cały szereg powyższych zbrodni dokonali ludzie, t. z. według nowych zasad psychologii zbrodnictwa — obłąkańcy zmysłu moralnego, najniebezpieczniejszy typ zbrodniarzy skrystalizowanych. Tylko dożywotne odłączenie ich od społeczeństwa przywróci sen spokojnym obywatelom. Pan Jelski w *Gaz. rolniczej* zna dobrze bezsenność trwogi, skoro mu ostre słowa nagany wymknęły się na prawników, dotkniętych „obłędem“ teoryi niepoczytalności zbrodni. Słuszny to grom, ale nadmienić muszę, że „niepoczytalny“ zbrodzień wobec urodzonego jest jeszcze aniołem. Biada jednak społeczeństwu, które rozmnoży ród owych „niepoczytalnych,“ tj. zgłodniałych, zrozpaczonych, epileptyków i pijaków! Potomstwo ich, jeśli pójdzie w te same pędy, dostarczy Frumerów, Bergerów, Korolików, Mijasów itp.

Gaz. lubelska zrobiła ciekawe spostrzeżenie. Pijaństwo ogarnęło już i kobiety klasy wyrobniczej. „Szynki zapełnione są wesołemi kumoszkami, które szczególnie w niedziele i święta przepijają w nich własny lub mężowski zarobek. Rzadko się zdarza, żeby towarzyszyli im mężowie, ale częściej inni mężczyźni, zawierający z młodszemi łatwe znajomości.“ Zniecierpliwieni mężowie szukają żon w szynkach. Dopiero sceny małżeńskie potem! Jeśli *Gazeta* nie przesadza, przybywa nowy rys ciemnoty do ponurego obrazu bytu niższej klasy u nas.

Jest u nas klasa ludzi, w których wielkie położono nadzieje, niesprawiedliwione niestety! dotąd. Są to nauczyciele wiejscy. Może się nie spodziewali, że wpadli naraz w oko *Kaliszaninowi*? Niech na przyszłość będą przygotowani na wiele uwag tego pisma. Już to nie pierwszy raz występuje ono w obronie ludu. Najlepszym dowodem jest artykuł p. Anieli Milewskiej (p. t. *W obronie ludu wiejskiego*). Ma on, mówiąc nawiasem, nieco naiwności, ale mieści i rozsądnych spostrzeżeń sporo. Ale wracamy do uwag p. G. z okolic Stawiszyna. Wiadomo (jak właśnie wykazuje p. G.), iż nauczyciele wiejscy zajmują się szkołą tylko 95 dni, pozostaje więc jeszcze wolnego czasu 170 dni. Co z nim robią? „Jedni, mając po kawałku ziemi, jako dodatek do pensyi — powiada p. G. — trudnią się gospodarstwem, niektórzy wydzierżawili grunty od włościan, inni, o ile mi wiadomo, trudnią się różnemi rzemiosłami, a inni albo nic nie robią, albo dla zabicia czasu i korzyści materyalnej, prowadzą rzemiosło pokątnych doradców.“ I takim to „pedagogom“ radzi p. G. zająć się raczej wydawaniem broszurek dla ludu, „przesyłaniem do gazet wiadomości ze swoich okolic i spostrzeżeń nad ludem!“ Alež by im za to odebrano wózek, na którym swój żywot wloką. Druga rada jest

praktyczniejsza: „Zbyt długie wakacye dla dzieci wiejskich tłomaczą tem, że włościanie letnią porą nie mogą się obejść bez ich pomocy, mieszkając jednak dość dawno na wsi, zauważyłem, że wyrostki od lat 8 do 14, pasący bydło, trzodę lub gęsi, powracają do domu z pastwiska o god. 10 rano i dopiero około 4 po południu powtórnie wypędzają inwentarz w pole. Od pierwszej do czwartej jest sześć godzin wolnego czasu, dzieci więc wałęsają się około domu, grają w guziki lub krąg i palą papierosy. Strofowany pewnego razu jeden z ojców, że syn jego 12-letni chłopak pali papierosy, tłomaczył, iż musi to robić, boby go komary zażarły. Wracając do owych sześciu swobodnych godzin, zdaje się, że byłoby możebnem, a nawet dla obydwu stron bardzo korzystnem, gdyby każdego dnia przed lub po południu na dwie godziny przynajmniej przymusowo posyłano dzieci do szkoły. Nauczyciele mieliby chociaż małe zajęcie, a dzieci nie zapomniałyby tego, co się przez 95 dni zimowych nauczyły.“ Jednakże i to życzenie zostanie pobożnem tylko...

Zygmunt Atanazy.

Z Płocka. *Korespondent płocki*, który w dwóch numerach nie wahał się wydrukować sprawozdania p. Ubysza, sprawozdania, potwarczego i niesumiennego, ten sam—mówię—*Korespondent* w ostatnim numerze z oburzeniem prawi o oszczerstwie i niesumienności Waszego pisma, które szlachetną, choć krótką jemu i p. Ubyszowi dało nauczkę. Zabawnem jest wykręcanie się *Korespondenta.* Szczerze np. żałuje (nr 74) przykrości, mimowiednie wyrządzonej przełożonemu innej szkoły prywatnej. „Próbować kogoś zniesławić i zbezcześcić, a następnie, gdy się próba nie uda, owszem, gdy wprost przeciwny wywrze skutek, żal szczery udawać i skruchę — to łatwo, bardzo łatwo; ale gdyby się tak próba udała? Następnie *Korespondent* dowodzi, że osławione sprawozdanie, jako „artykuł nadesłany,“ wyjęte było z pod odpowiedzialności redakcyi. Czasy naiwności minęły i ogół wie, co sądzić o takich artykułach, „extra muros“ działu literackiego zamieszczanych. Ogół ten, zwłaszcza tak dokładnie znający miejscowe stosunki i warunki, doskonale umie odróżnić prawdę od fałszu, sprawozdania szkolne od reklam; wie, gdzie kończy się dział literacki, a zaczyna—płatnych ogłoszeń. Dlaczegoż w takim razie *Korespondent* w tym ostatnim mianowicie dziale nie zamieścił owego sprawozdania? Czemu drukował je aż w dwóch numerach i zajął niem przeszło stronicę swojej objętości? Czemu wreszcie publicznie przez p. Ubysza napadniętym publicznej również odmówił obrony? Kto mogąc nie broni pokrzywdzonych, sam ich krzywdzi, a *Korespondent* aż nadto dobrze wie, w jakim celu p. Ubysz sprawozdania szkolne pisuje; dosyć je wreszcie przeczytać. Wszystko zaś to, co się tyczy odpowiedzi i obrony, a co *Korespondent* na swoje usprawiedliwienie przytacza, jest najwierutniejszym fałszem. Temu, co przyszedł do redakcyi z artykułem, mającym na celu obronę zniesławionych, kazano najprzód czekać tydzień, niby to do skończenia „sprawozdania“ p. Ubysza, a po tygodniu stanowczą dano odprawę; tym zaś, co przyszedł, nie był żaden „ktoś inny,“ tylko osoba bardzo interesowana, mianowicie jeden z tych Maćków i Bartków, jak p. Ubysz nauczycieli miejscowych w swoich sprawozdaniach nazywa; o czem *Korespondent* wiedział również. To też zapewnić szanowną redakcyę *Prawdy* mogę, iż innego, co do jej sumienia jesteśmy tu zdania i uważamy je za zupełnie czyste. Dla skonstatowania wreszcie faktu, iż *Korespondent*, oprócz pobopnego zarzucania innym oszczerstwa i niesumienności, i roboty literackie nieszczęśliwie klasyfikuje, posyłam szanownej redakcyi kopję owego obronnego a nieprzyjętego artykułu, który w dziwnej trafności sądu „humorystyczno-lirycznym“ nazwanym został (Nr 74).

K.

(W sprawie tej odebraliśmy niezwykłą ilość listów przeciwko *Korespondentowi* i p. Ubyszowi. Dając głos tylko jednemu, uważamy przedmiot za wyczerpany. Co zaś do gniewnego w stronę naszą wytrysku ślin *Korespondenta*, nie możemy się nań gniewać, bo nas serdecznie rozśmieszył. *Red.*).

PRASA ROSYJSKA.

Graždanin tak rozumuje na temat wojny:

„Kto może pragnąć wojny? Wojna, straszna to rzecz! Wojna! Jakież to okrutne słowo, zwłaszcza obecnie, gdy wiemy, jaką to masę ofiar ludzkich, i jakie zniszczenie narodów zawiera ono w sobie! A mimo tego daje się słyszeć, iż całe masy pożądają tego strasznego zjawiska! Pragnie wojny żydek, mając na widoku otwarte pole dla niezliczonych i różnorodnych geszeftów. Pragnie wojny żyd poważny, przewidując z jednej strony milionowe dostawy, a z drugiej osłabienie tego lub owego państwa chrześciańskiego. Pragnie wojny dziennikarz, w przekonaniu, że potroi się liczba prenumeratorów, a pojedyncza sprzedaż numerów będzie najmniej dziesięć razy większą. Pragnie wojny kupiec, spodziewając się ożywienia handlu. Pragną wojny obywatele ziemianie, w nadziei pozbycia się zboża. Wreszcie pragnie wojny oficer, licząc, że kula go nie trafi, a pozyska możność odznaczenia się i awansu. Widzicie więc, że pragnących wojny jest sporo, przeto nie życzących sobie wojny powinno być mniej. Zobaczymy więc... Nie chce wojny Najjaśniejszy Pan, który zna z doświadczenia wszystkie okropności wojny, jakie oczekują ukochany przez Niego naród rosyjski. Nie chce wojny lud rosyjski, który będzie musiał ponosić wszelkie ofiary i ciężary bez względu na to, czy wojna będzie pomyślną, czy nieszczęśliwą. Nie chcą wojny miliony rosyjskich kobiet: matek, żon i córek, i prawdopodobnie nie życzy sobie wcale wojny ministeryum skarbu, któremu przypadło w udziale poprawiać nadszarpane przez wojnę finanse Rosyi, i które prawdopodobnie jest zdania, że jakkolwiek zbrojny pokój jest uciążliwym dla każdego kraju, wojna jednak byłaby bez porównania uciążliwszą. Bóg zadecyduje, czyje życzenia mają się spełnić! Nie trzeba jednak zapominać, że jeżeli wojna jest rzeczą straszną, to jest jeszcze coś okropniejszego, a mianowicie: pierwsze dni po wojnie, dni, gdy minie już gorączka krwi i nerwy grać przestaną, gdy człowiek stoi w ostatnich promieniach wojennego blasku, gasnącego nad tysiącem mogił, nad stosami trupów i nad zaczynającemi wypływać z mgły codziennego życia obrazami zniszczenia i nędzy... które następnie, gdy nastąpi głucha noc pokoju, zamieniają się w straszną epokę zastoju, nieruchomości i skamienienia. Tak, jest nad czem pomyśleć, gdy wymawia się to słowo: *Wojna*! Pomyśleć nad tem myśmy tem więcej powinni, że od 1878 roku przeżywamy właśnie ów męczący peryod czasu *po wojnie*! Doświadczając tego zmęczenia i smutku, jakich my doświadczamy, czyż możemy się dziwić, że człowiek szukający wyjścia z tego położenia żąda wojny, jak pijany po przebudzeniu żąda wódki, ażeby pozbyć się męczącego stanu trzeźwości; szukamy wojny, jako wyjścia z męczącego stanu uciążliwego pokoju, w nadziei, że znajdziemy podniesienie ducha, pobudzenie nerwów, nowe natchnienia... chociażby tylko na czas wojny. Powiedziałbym tu, że ciężko jest rzeczywiście, ale znieść można. Znieść można i trzeba, to dług patryotyzmu znosić obecne ciężkie położenie w nadziei... wojny? Prawdopodobnie, bo żadne zabiegi w celu jej uniknienia nie osiągną celu... i wojna będzie nieunikniona. Cała rzecz w tem, aby ją odwlec jak najdłużej. Gdy losy raz już postanowiły wojnę, należy jej pozostawić czas, ażeby dojrzała, aby z nieludzkiej, stała się jeszcze więcej nieludzką; nieludzkość należy doprowadzić do *maximum* i wtedy iść na wojnę... Zarzucą mi, że to myśl dzika? Nie ze wszystkiem. Siły naszego sąsiada są gotowe do boju, a nasze jeszcze niezupełnie. Na morzu Czarnem jeszcześmy nie gotowi, to jeden wzgląd; a jest drugi jeszcze ważniejszy. Jeden żołnierz kosztuje naszego sąsiada trzy razy więcej, aniżeli nas. To znaczy, że utrzymanie zbrojnego pokoju jest trzy razy uciążliwsze dla naszego sąsiada, aniżeli dla nas. Ekonomiczne położenie naszego sąsiada od 1871 r. poprawiło się, a środków tam w tym czasie więcej, aniżeli u nas; przeto im dłużej wytrzymamy go i unikniemy wojny, tem więcej hędą się zużytkowały środki sąsiada, a my z gorszego położenia ekonomicznego, możemy przejść do lepszego, sąsiad zaś, którego zbrojny pokój kosztuje trzy razy więcej, musi przejść z lepszego na gorsze. A wówczas, gdy już sąsiedzi nie wytrzymają pokoju zbrojnego, niech sobie przychodzi wojna. Owa niemożność dalszego rujnowania się dla pokoju zbrojnego musi tam przyjść wcześniej, aniżeli u nas. Winniśmy o tem pamiętać, a biada nam, jeśli o tem zapomnimy.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nowa ustawa szkół realnych zapewnia następujące prawa i przywileje: Kto ukończył pięcioletni ogólny kurs nauk może być przyjęty do służby państwowej, jeśli ma na to prawo z pochodzenia swego, zaś pod względem odbywania powinności wojskowych korzysta z praw na równi z kończącymi zakłady dwóch pierwszych kategoryj. Uczeń, który wszedł z czwartej lub piątej klasy, będzie korzystał z praw, przysługujących kończącym kurs w szkołach miejskich na zasadzie ustawy z r. 1872. Kto, oprócz pięcioletniego ogólnego kursu, przejdzie jeszcze czteroletni kurs w klasach dopełniających (fachowych), otrzyma tytuł technika danej specyalności. Ci, którzy z racyi pochodzenia swego nie mają praw wyższych, otrzymają honorowe obywatelstwo i będą mogli na równi z kończącymi gimnazya wstępować do wyższych szkół technicznych.

Wobec niedostatecznych rezultatów z dotychczasowej nauki języków nowożytnych w gimnazyach, ministeryum oświaty uznało za pożyteczne następujące środki: 1) przy mianowaniu nauczycieli języków nowożytnych, żądać od nich znajomości rosyjskiego; 2) zobowiązać dyrektorów do możliwie najczęstszego przebywania na lekcyach tych języków, tudzież do troskliwego baczenia na czytanie tekstów, artykułów i utworów obcych, oraz na praktyczne ćwiczenia uczniów w tłomaczeniu; 3) mianować na przełożonych pensyonatów przy gimnazych przedewszystkiem cudzoziemców, władających swym językiem i posiadających prawo do zajmowania miejsc wychowawców w gimnazyach.

Język polski rozporządzeniem królewskiem został usunięty ze wszystkich szkół ludowych Poznańskiego i Prus zachodnich.

Falb miał słuszność. Dnia 18 b. m. w wielu miejscowościach Królestwa i Cesarstwa szalały gwałtowne burze.

„Przyszłe hale warszawskie — jak mogą wyglądać.“ Pod tym tytułem p. St. Szyller w osobnej broszurce rozjaśnił owo ważne dla naszego miasta przedsięwzięcie.

Dr. A. Fabian wydał pierwszy zeszyt obszernego studyum „O warunkach powstawania i znaczeniu klinicznem podwyższenia ciepłoty w gorączce.“ (Warszawa, str. 410).

Dr. T. Hering, znany laryngolog, wydał w osobnej odbitce z *Gaz. lekarsk.* obszerną rozprawę „O chirurgicznem leczeniu suchot krtani i ich wyleczalności.“ Do tekstu (str. 116) dołączone są tablice litografowane i chromolitograficzna.

Dr. W. Zawadzki ogłosił w przedruku z *Kron. lek.* rozprawę swoją „O zakaźnem pochodzeniu i przecięgnilnem leczeniu suchot płucnych (str. 63).

Ciekawe badanie prowadzą pp. E. Świeżawski i K. Wenda, mianowicie ze źródeł niedrukowanych wydają „Materyały do dziejów farmacyi w dawnej Polsce.“ Obecnie wyszła część III (str. 118) jako odbitka z *Wiadomości farmac.*

Kalendarze już wyszły lub wyfruneły na świat. Z poważniejszych i większych ukazał się bogaty informacyami, a po części także zajmujący stroną literacką kalendarz *Wieku*; z wesołych *Facet* humorystyczny. Dzięki temu ostatniemu czasami szczerze uśmiać można się (zwłaszcza ze szkiców Kostrzewskiego).

Bibliografia *Wisła*, miesięcznik, zeszyt 6.

— J. Łubieński *Mechanika*, zeszyt 4.

— Kotłubaj i Strzelecki *Encyklopedya rolnicza*, zeszyt 12.

— F. Rutowski *Rocznik statystyki Galicyi*, wydany przez krajowe biuro statystyczne (oddział przemysłu i handlu), Rok I, 1886 (Lwów).

— G. Plewako *H. hr. Łubieński i B. Niepokojczycki*, dwaj kierownicy Banku polskiego, przyczynek do dziejów tej instytucyi (1831—65).

— N. Zylbersztajn *Na krańcach*, powieść. (Łódź).

— W. Rapacki *Do światła*, powieść z XV wieku. (Kraków).

— Księgarnia Żupańskiego i Heumana wydała drugi tom dzieła prof. Krzymuskiego *Wykład prawa karnego*.

— P. Henryk Klawe, magister farmacyi, wydał broszurkę *Skorowidz środków zaradczych w wypadkach otrucia*.

— W Krakowie wyszła dwuaktowa komedya p. Czesława Pieniążka *Słomiany wdowiec*. Grano ją w Krakowie i Poznaniu.

— Opuścił prasę w Warszawie dramat historyczny w 5 aktach p. Józefa Łabuńskiego *Ziemowit książę mazowiecki*.

— Wyszła odbitka bezimienna z *Przegl. pedagogicznego* p. t. *Ogródek dziecięcy i jego twórca Froebel*.

Ze sztuki. Konkurs rysowniczy *Tyg. ilustr.* rozstrzygnięto. Z trzech poddanych pod głosowanie szkiców (*Abarbanel*, *Wielki król Kazimierz* i *Epizod z bitwy pod Lipskiem*), największą ilość głosów otrzymał „Król Kazimierz." Po otwarciu koperty okazał się zwycięzcą Wojciech Gerson.

W kongresie przedstawicieli kolei żelaznych w Medyolanie uczestniczy 31 przedstawicieli różnych towarzystw kolejowych w Rosyi i Królestwie Polskiem.

Nowosti donoszą, że ministeryum dóbr państwa jeszcze w r. b. zamierza przeprowadzić reformę zarządu leśnego w trzeciej części lasów rządowych w Królestwie Polskiem. Nowy podział wyniesie 20 leśnictw. Poprzedni urzędnicy bez specyalnego wykształcenia zastąpieni będą przez wychowańców instytutu leśnego w Petersburgu.

Niespodziewany zawód. *Petersb. Wied.* piszą: „Niektórzy izraelici, którzy pragnęli w r. b. wstąpić na uniwersytet kijowski, przyjęli chrzest, życząc sobie, aby ich zaliczono w poczet studentów na równi z chrześcianami. Rada uniwersytecka zawiadomiła o tem kuratora okręgu naukowego kijowskiego, który ze swojej strony uznał za stosowne zwrócić się do p. ministra oświaty z zapytaniem o decyzyę. Ponieważ w cyrkularzu p. ministra co do przyjmowania studentów izraelitów powiedziano, że ograniczenie procentowe winno się stosować do osób „pochodzenia żydowskiego."

Nowe ograniczenia. W radzie państwa złożony został projekt zmiany ustaw miejskich w punkcie tyczącym się udziału żydów w zarządzie miast. Obecnie liczba głosów żydowskich nie może przechodzić $\frac{1}{5}$ ogólnej. Według projektu, zniżona ona będzie do połowy. Prawa wyborców mają również uledz ograniczeniu, tak iż żydzi będą mogli tylko wpływać na wybór żydów.

Dom dla inwalidów kolei żelaznych w Królestwie Polskiem i sąsiednich rozpoczęto budować w osadzie Orchówka (pow. włodawski, gub. siedlecka). Zakład będzie się składał z domków drewnianych na pomieszczenie 28 inwalidów żonatych i tyluż bezżennych, ze szpitala, szkoły i warsztatów. Koszta kupna gruntu i budowy wyniosą około 100,000 rs. Na utrzymanie zakładu w przyszłości koleje żelazne będą płaciły roczną składkę. W roku przyszłym ma on być gotowy. Przecież terający siły swe najmita doczekał się spłaty długu choć cząstkowej.

Węgrzy zrzucają poczwarki niemieckie: madziaryzują swoje nazwiska. W ciągu zeszłego roku zwęgrzyło się 817 osób: 41 Kohnów, 21 Weissów, 12 Kleinów, 9 Sternów i tyluż Löwych poddało się przeistoczeniu dźwiękowemu.

Lejbe i Siora, powieść Niemcewicza, za dążność antisemicką podległa prześladowaniu rządu W. Ks. Poznańskiego. Najprzód wytoczono proces księgarzowi Wł. Simonowi w Poznaniu za sprzedawanie tej powieści. Z powodu przedawnienia winy autora (który umarł 46 lat temu), sąd nadziemiański żądanie prokuratoryi odrzucił, ale chciał natomiast „Lejbę i Siorę" poddać konfiskacie. Dopiero obrońca wykazał niesłuszność wyroku, opartego na niektórych ustępach powieści. Nakazał więc przełożenie jej na język niemiecki. Pewnego pięknego poranku dowiemy się, że sądy „narodu filozofów" wytoczyły proces słońce za przygrzewanie łysinie Bismarkowskiej...

Teatr i muzyka. Panna Pistorówna, znana artystka, zamówiona została ponownie na porę zimową do składu orkiestry opery lwowskiej.

— Znana z przedstawień w Belle-Vue operetka *Farinelli* dostanie się zimą na deski teatru Małego.

— Komedya p. Zalewskiego *Przed ślubem* ma być wznowioną w teatrze Rozmaitości.

— Kilkadziesiąt osób ze sfery artystycznej podejmowało Mierzwińskiego szampanem i pasztetem strasburskim. Za co? Za „zasługę obywatelską śpiewaka," za udział w koncercie na pomnik Królikowskiego. Doprawdy, gdyby nie znany u nas „pęd" do „wyżerki" i „bibek," sądzićby można, że się obłąkał zmysł moralny. Po zmięszaniu ongi swych trelów w Berlinie z namiętną wrzawą parlamentarną o rugowaniu robotnika polskiego z jego ziemi, chyba jeszcze nie bardzo zasłużył „król tenorów" na miano obywatela kraju... Po uczcie pojechał do — Niemiec.

— Pomnik Królikowskiego ma kosztować 2,600 rs. Z koncertu zaś Mierzwińskiego wpłynęło na odnośny fundusz 2,100 rs.

Zmarli. Rudolf Pokorny, poeta czeski, lat 34. Głównie zwróciły uwagę zbiorki poezyj: *Z jarnich lubu*, *Basne* i *Z hor*. Tłomaczył wiele rzeczy polskich na język czeski. Stawał w obronie uciśnionych przez węgrów słoweńców.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. M. Z. W tej postaci i rozmiarze drukować korespondencyi Pańskiej nie możemy. Jest ona dla nas za obszerną i za mało treściwą. Prosimy tylko o zwięzłe i przedmiotowe przedstawianie faktów z wyraźnem oznaczeniem miejsca i osób.

P. Jakóbowi M. Nie mamy na ten wywód miejsca, tem bardziej, że musimy przecie zamieścić rozbiór tego utworu. Zaznaczymy tylko ogólnie, że według Pana czarodziejstwo u żydów przez 2,000 lat wstecz nie istniało, a Rapacki niesłusznie wprowadził je do wieku XV w swej powieści. List Pański odesłaliśmy autorowi.

A. L. „Rezygnacya" znaczy zrzeczenie się, a zrzekać się można tylko co do teraźniejszości lub przyszłości. Jakaż może być rezygnacya co do przeszłości? Chyba idzie o powrót jej.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Сентября 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.